Nr. 193. Lwów — Piątek dnia 23 Sierpnia. Rok 1901.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 6 po południu z datą dnia następnego.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

Ogłoszenia i przedpłatę przyjmuje wyłącznie: ...
Ogłoszenia wiersz petitowy albo jego miejsce ... 40 h.
Reklamy po kresce wiersz petit ... 1 K.
Ogłoszenia na czele numeru na pierwszej stronicy wiersz petitowy ... 40 h.

Dziś: św. Filipa B. Ławrentyja. Jutro: św. Bartłomieja Ap. Jewpla Ap. | Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. Sykstuska l. 45. | Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.** | Wschód słońca o g. 5 m. 12, Zachód „ „ 6 m. 50 | Długość dnia godzin 13 minut 38. Ubyło dnia od wczoraj 3 min.

Czas odnowić przedpłatę

Wynosi ona na prowincyi:
Miesięcznie 2 K. 20 h.
Kwartalnie 6 „ 60 „
Półrocznie 13 „ 20 „
Rocznie 26 „ 40 „
Za zmianę adresu dopłaci się 40 h.
Administracya Przeglądu.

Żądania niemieckiej Rady rolniczej.

Stały zarząd państwowej Rady rolniczej w Niemczech zaprosił delegatów stowarzyszeń agrarnych do narady nad ogłoszonym przez rząd berliński projektem przyszłej taryfy celnej. Te narady zaczęły się w przeszły piątek, trwały dwa dni, a w poniedziałek ogłoszono ich wynik. Nie zadowolił on ani agraryuszy, ani przeciwników ogłoszonego przez rząd projektu; nie zadowolił pierwszych dlatego, że zarząd Rady rolniczej i delegaci stowarzyszeń agrarnych nie podtrzymali w swych rezolucyach dawniejszego domagania się pełnej Rady, aby cła na produkta rolnicze były jeszcze większe, niż rząd projektuje; a nie zadowolił liberałów i postępowców z tego powodu, że w rezolucyach żądano wyższych, niż w projekcie rządowym ceł na korzyść rolników. Uchwalono pięć rezolucyj. Z nich dwie pierwsze mało obchodzą zagranicznych producentów zboża, gdyż mówią o administracyi składów zboża, idącego przez Niemcy tranzito i o tem, że termin wejścia w życie ustawy celnej powinien być ustanowiony nie przez rząd, ale przez parlament. Następne rezolucye obchodzą wszystkie państwa, utrzymujące handlowe stosunki z Niemcami. Rezolucya trzecia domaga się, aby system taryfy podwójnej — maksymalnej i minimalnej — zastosowany był nie do głównych tylko produktów rolniczych, jak rząd projektuje, ale do wszystkich, więc także do bydła rzeźnego, drobiu, koni, skór, jaj i t. d. Rezolucya czwarta żąda, aby taryfa minimalna była wogóle podwyższona, a jeżeli rząd się nie zgodzi na rezolucyę trzecią, to znaczy, jeżeli niektóre produkta rolnicze będą wypuszczane do kraju tylko za opłatą cła podług jednej taryfy, to żeby rząd wolno było robić obcym państwom większych ustępstw od tej taryfy, jak wynoszących 20%. Wreszcie rezolucya piąta domaga się nałożenia cła ochronnego na warzywa, podczas gdy projekt rządowy nakładał na nie tylko cło fiskalne.

Tak tedy zarząd Rady rolniczej domaga się znacznego zaostrzenia projektu rządowego. Inaczej nie mógł postąpić oficyalny rzecznik interesów agrarnych; z tego jednak nie wynika, żeby rząd zechciał odstąpić od zasad, na których oparł swój projekt, bo nie mógłby z żadnem państwem zawrzeć traktatu, ze wszystkiemi musiałby stanąć do wojny celnej, a to bynajmniej nie jest jego zamiarem.

Z powodu uchwał zarządu Rady rolniczej znowu zaczęła się hałaśliwa walka między obozami rolniczym a przemysłowym. Oba te obozy rozwijają żywszą agitacyę, uruchomiają i skupiają swe szeregi, i wogóle nie szczędzą starań, aby w stanowczej chwili zapewnić swym przekonaniom zwycięstwo. Pewnej otuchy dodały zresztą liberalnym czy wolnohandlowym stronnictwom głosy prasy półurzędowej, kładące szczególny nacisk na fakt, że projekt nie jest jeszcze ustawą i że ustanowione w tym projekcie pozycye celne mogą być w Radzie związkowej i następnie w parlamencie mniej lub więcej radykalnie zmienione. Swoją drogą zapewnienia te przypominają wyrocznie delfickie; tłómaczyć je sobie można, jak się komu podoba. Jeżeli więc wolnohandlowcy, opierając się na głosach półurzędowych, liczą na znaczną obniżkę ceł, ustanowionych w projekcie nowej taryfy, to agraryusze nie tają się z nadziejami, że Rada związkowa i parlament uchwalą daleko wyższe cła od zboża niż te, które projektuje ogłoszona taryfa rządowa.

Ostatecznie jednak walka pomiędzy liberalnym a agrarnym obozem posiada tylko czysto akademickie znaczenie. Co do przyszłego ukształtowania się niemieckiej polityki handlowej nie można stawiać żadnych horoskopów, dopóki nie wystąpi ze swym zdaniem decydujące przy teraźniejszym składzie parlamentu stronnictwo centrum. W pierwszej chwili po ogłoszeniu projektu nowej taryfy, nie brało ono prawie żadnego udziału w walce między przeciwnikami i zwolennikami podwyżki ceł zbożowych, lecz zadawalało się rolą widza. W obozie też liberalnym panowało przekonanie, że centrum już ze względu na licznych swych wyborców w nadreńskich i westfalskich okręgach przemysłowych oświadczy się przeciwko polityce celnej, dążącej do podrożenia najniezbędniejszych dla szerokich warstw narodu artykułów żywności.

Ale oto przed kilku dniami wybitny organ katolików niemieckich *Kölnische Volks Zeitung* zamieściła artykuł, inspirowany niewątpliwie przez zarząd stronnictwa centrum, a występujący stanowczo i bez wszelkich zastrzeżeń w obronie „wzmocnionej ochrony" krajowego rolnictwa. Nie uważa ona pozycyj celnych, projektowanych w projekcie nowej taryfy za niemożliwie wysokie i zgadza się na te lub owe ich zmiany, oświadcza jednak, że, biorąc na ogół, proponowana w nowej taryfie zwyżka ceł zbożowych, stanowi minimum, jakiego rolnicy niemieccy domagać się mają prawo. Co zaś ważniejsza, to fakt, że *Kölnische Volks Zeitung* przypuszcza nawet zwyżkę tych pozycyj w parlamencie.

Rozwijając swą tezę, ten organ niemieckiego stronnictwa katolickiego posługuje się argumentami, zaczerpniętymi z arsenału prasy agrarnej. Dowodzi więc, że nie jest zadaniem rządu niemieckiego popierać produkcyi zagranicznej, lecz przedewszystkiem stać w obronie interesów niemieckich. Nie przeraża go też groźba walki celnej z zagranicą, ponieważ walka taka jest obosieczna i w danym razie narazi zagranicę na nie mniejsze szkody, niż Niemcy. W końcu za przykładem dzienników agrarnych i *Köln. Volks Ztg.* zarzuca przeciwnikom zwyżki ceł zbożowych, powołującym się na opinię publiczną zagranicy, brak poczucia godności osobistej i patryotyzmu.

Lecz mniejsza o argumenty. Faktem ostatecznie jest najważniejszym, że rozstrzygające stronnictwo niemieckie wypowiedziało wreszcie w tej ważnej nietylko dla Niemiec, ale i dla zagranicy sprawie swoje zdanie i że zdanie to wypadło na korzyść nowych tendencyj niemieckiej polityki handlowej. Tak więc już dzisiaj prawie nie ulega wątpliwości, że cła zbożowe, o które przedewszystkiem chodzi w całej tej walce, uchwalone będą przez parlament niemiecki co najmniej w proponowanej przez nową taryfę wysokości. Stronnictwa liberalne wytężą wszystkie swoje siły, aby nie dopuścić do tej uchwały, zagrażającej jakoby niechybnym upadkiem całemu gospodarczemu życiu Niemiec, podług wszelkiego prawdopodobieństwa nie cofną się nawet przed wypróbowanym już w tylu wypadkach środkiem obstrukcyi parlamentarnej, wątpić jednak należy, aby wobec zwartej większości agrarno-katolickiej, wysiłki te doprowadziły do upragnionego celu. Walka będzie bez kwestyi zacięta i gwałtowna, zwycięstwo jednak stanie się udziałem większości, która w tym wypadku, gdzie wchodzą w grę najżywotniejsze, bo materyalne jej interesy, nie cofnie się przed żadną ostatecznością, aby dopiąć swego celu. Świadkami tej walki będziemy w listopadzie.

Z nekrologów Kaizla. — Z fanfary szamada.

Piszą nam z Wiednia, 21 sierpnia:

W nekrologu śp. d-ra Kaizla *Narodni Listy* twierdzą, że tylko od niego zależało i byłoby wystarczyło słówko, aby on, nie dr. Biliński, był został mianowany gubernatorem banku austryacko-węgierskiego. Jest to blaga. Nie uwłaczając pamięci p. Kaizla, trzeba zaznaczyć, że z dwóch byłych ministrów finansów, p. Biliński, na mocy starszeństwa, jakoteż zasług, w pierwszym rzędzie był powołanym do zajęcia owego stanowiska. Prawdziwe znaczenie aforyzm *Narodnich Listów* miałby może w tym sensie, że, gdyby p. Biliński nie był przyjął urzędu gubernatora banku, byłby go otrzymał p. Kaizl.

Natomiast *Narodni Listy* otwarcie i nie osłaniając bynajmniej prawdy, obszernie omawiają czynność obstrukcyjną p. Kaizla w r. 1894, wychwalając go jako „prawdziwego mistrza w obstrukcyi." Istotnie p. Kaizl wprowadził obstrukcyę do Izby poselskiej. Jeżeli *Narodni Listy* uważają to jako zasługę nieboszczyka, to nie mają żadnego prawa potępiać Wolfa, owszem powinny go wychwalać, że wydoskonalił ten środek ubezwładnienia większości w parlamentach!

Najchłodniej brzmi nekrolog w *Hlasie Naroda*. Organ dawnego kolegi i przyjaciela z czasów „realizmu" d-ra Brafa podnosi, że wielkie zdolności p. Kaizla nie przyniosły narodowi czeskiemu żadnych korzyści, bo w ostatniem dziesięcioleciu Czesi nie zdobyli żadnego prawa politycznego. Tak jest istotnie. Wszystkie narodowe zdobycze Czechów: wszechnica, większość w sejmie krajowym itd., pochodzą z okresu 1880—1890, z okresu polityki konserwatywnej, rozważnej i prawdziwie — „realistycznej". Natomiast obliczona głównie na efekt i sensacyę polityka młodoczeska z lat 1891 do 1901 nie przyniosła Czechom ani jednej zdobyczy politycznej — bo jedyna taka zdobycz, rozporządzenia językowe z r. 1897, została unieważniona. Dobrze to przypominać zawsze, ponieważ u nas koła radykalne systematycznie rozpowszechniają niezgodną z prawdą fikcyę, jakoby młodoczesi swą „energią" etc. byli zabezpieczyli swemu narodowi znaczne korzyści. Nie zabezpieczyli mu żadnych — jak słusznie zaznacza *Hlas Naroda*.

Jednakże sprawiedliwość wymaga skonstatować, że p. Kaizl starał się o to, aby powoli odwrócić politykę młodoczeską z drogi samobójczego warcholstwa i że niezawodnie uchronił Czechów przed niejedną, sroższą klęską, na jaką mogła ich narazić taktyka p. Edwarda Gregra. I to jest wielką zasługą, chociaż tylko negatywnego rodzaju.

Antiaustryacka kampania pewnych włoskich kół radykalnych w aliansie z Czarnogórą kończy się stanowczą moralną porażką. Cała poważna prasa włoska dobitnie protestuje. Wspomnieliśmy niedawno o znaczącym artykule medyolańskiego *Corrière della Sera*. W podobnym duchu *Perseveranza* oświadcza, że cała kampania albańska jest dziełem nierozumnych plotkarzy i agitatorów. *Gazetta di Venezia* podnosi, że Włochy mogą się starać tylko o zapewnienie sobie zbytu towarów w Albanii i to w szczerem porozumieniu z Austro-Węgrami. *Stampa* na podstawie wynurzeń pewnego wysokiego urzędnika ministeryum spraw zagranicznych zapewnia, że plotki o nieporozumieniach pomiędzy Wiedniem a Rzymem z powodu Albanii nie mają najmniejszej podstawy.

Tymczasem także ks. Mikołaj czarnogórski trąbi do odwrotu. Z rocznicy urodzin Cesarza Franciszka Józefa książę czarnogórski skorzystał, aby wygłosić toast, w którym bardzo stanowczo wypowiada swą dozgonną wdzięczność i przyjaźń dla Cesarza Franciszka Józefa. Widocznie księciu Mikołajowi chodziło o to, aby zatrzeć przykre wrażenie, wywołane znaną przemową swego spadkobiercy Daniła, który groził Austro-Węgrom aliansem Czarnogóry, Włoch i Turcyi!

Niemal równocześnie czarnogórski konsul w Rzymie Popowicz w tamtejszym *Avanti* broni się od zarzutu, że Czarnogóra usiłuje w Rzymie propagować politykę egoistyczną, że pragnie zdobyć Albanię i poróżnić Austro-Węgry z Włochami. Mniejsza o to, czy ta apologia jest szczerą? W każdym razie sam fakt pojawienia się tego oświadczenia dowodzi, że agitacya antiaustryacka napotyka we Włoszech na znaczne przeszkody.

Słowem — czarnogórsko-włoska radykalna fanfara zamieniła się w okamgnieniu w szamadę! Włosi lubują się w deklamacyach. Ale jako naród, obdarzony wykształconym zmysłem politycznym, natychmiast zrozumieli, że byłoby największem głupstwem poróżnić się z Austryą gwoli Czarnogórze. Może też trochę do wytrzeźwienia przyczyniła się obawa przed wpływami — buduarowemi. Piękna Helena zawiniła 10-letnią wojnę o Troję, ale w XX stuleciu polityka i przyszłość wielkich mocarstw nie może zależeć od uśmiechu choćby najpiękniejszej Heleny.

Z pracowni Szczepanika.

Wiedeńskie dzienniki donoszą, że oprócz pancerza chroniącego w znacznej mierze od kul, a zupełnie od uderzenia nożem, sztyletem, czy bagnetem, zbudował w ostatnich czasach Szczepanik aparat zabezpieczający pociągi kolejowe od niespodziewanego wpadnięcia jednego na drugi. Aparat ten jest bardzo prosty. Oto na lokomotywie i na ostatnim wagonie każdego pociągu znajduje się przyrząd podobny do latarni, a będący odbieraczem tak zwanych fal elektrycznych. Skoro tylko dwa pociągi zaopatrzone w takie aparaty zbliżają się ku sobie, czy to w ten sposób, że jeden najeżdża na drugi z przodu, czy też tak, że jeden nadbiega na drugi z tyłu, wnet aparaty zaczynają działać, a druty przeprowadzone od nich do hamulców, zamykają te hamulce, co sprawia, że pociąg natychmiast się zatrzymuje. Dodać przytem należy, że same hamulce Szczepanik bardzo udoskonalił i że oprócz tego uwzględnił możliwość zepsucia się hamulców. Na ten więc wypadek jego aparat jest urządzony w ten sposób, że skoro tylko zaczynają na niego działać fale elektryczne, rzucane z pociągu nadchodzącego, natychmiast odzywają się hałaśliwe dzwonki. Wtedy oczywiście maszyniści na obu lokomotywach zamykają parę i wskutek tego pociągi zmniejszają swój rozpęd i wkrótce stają. Starcie się pociągów jest zatem prawie zupełnie wykluczone. Ten wynalazek Szczepanika jest zupełnie zrozumiały dla osób obznajomionych z dzisiejszym stanem elektrotechniki i dla tych, którzy wiedzą, jak niezmiernie wrażliwe są tak zwane odbieracze fal elektrycznych.

Drugi wynalazek Szczepanika jest natomiast dość zagadkowy. Jest on już podobno opatentowany i wzięty niejako w monopol przez wojskowość. Jest to jakaś ręczna maszynka, mały aparacik, który lekko może nosić każdy człowiek. Gdy ta maszynka zaczyna działać, wylatują z niej jakieś prądy, oczywiście elektryczne, a działają one w ten sposób, że ładunki armatnie i karabinowe, znajdujące się w armii nieprzyjacielskiej, czy to w lufach, czy to jeszcze w wózkach, eksplodują. Rzecz jasna, że kiedy w ten sposób u nieprzyjaciela powybuchają wszystkie prochy i dynamity, to nietylko on nie będzie miał czem strzelać, ale jeszcze powstanie w jego szeregach ogromny zamęt, popsują się lufy karabinowe, popękają działa, patrontasze noszone przez żołnierzy, poranią tych żołnierzy, słowem armia nieprzyjacielska sama siebie pobije. Nieprawdaż, że ten wynalazek wygląda bardzo nieprawdopodobnie? Ale musimy podnieść, że przed kilku dniami oglądało go liczne grono wiedeńskich uczonych i oni to właśnie ręczą za jego prawdziwość. „Marzył o tem już Verne w swoich powieściach — woła *Fremdenblat* — a młody Polak zamienił to marzenie w rzeczywistość".

Ponieważ wspomnieliśmy tu o *Fremdenblacie*, więc przytaczamy z niego jeszcze następujące zdanie: „Jeżeli Jana Szczepanika słusznie można nazwać Filipem Macedońskim (mowa tu o znakomitym królu, ojcu Aleksandra Macedońskiego), to Aleksander, który po nim przyjdzie, nie będzie już miał nic do zdobywania. Wszakże Szczepanik buduje teraz aparat, za pomocą którego będzie bez drutów telegrafował z Europy do Ameryki; rząd waszyngtoński z góry asygnował na ten wynalazek 1,000.000 dolarów. A te wszystkie drobne wynalazki, które Szczepanik, jakby mimochodem wytrząsa z rękawa: te pługi elektryczne, tak proste, że mogą być używane przez każdego rolnika, a ułatwiające orkę na dowolną głębokość; te sposoby konserwowania jaj przez pół roku; ta maszynka do pisania dla niewidomych; ten przyrząd usuwający niebezpieczeństwa, jakiemi grożą naładowane elektrycznością druty rozpięte nad ulicami miast, tam, gdzie są tramwaje elektryczne; a wreszcie te ekrany świetlne, o których koniecznie trzeba osobno powiedzieć. Oto zapomocą całego systemu soczewek, które w różnych kierunkach przełamują promienie, można rzucić na ścianę wielkości 40 m. kw. dowolny obraz w naturalnych kolorach. Wynalazek ten będzie zastosowany do teatru, gdzie zastąpi dekoracye: na rozpiętem płótnie, tak wielkiem jak scena, będą te dekoracye występowały jakby rzeczywistość. Lasy, góry, jeziora, sale wszelkiej architektury—wszystko to będzie się odbijało na tem płótnie zupełnie tak, jak artysta namaluje na ćwiartce papieru, na tej ćwiartce, która następnie będzie włożona do aparatu Szczepanika. Jakże to znakomicie uprości maszyneryę teatralną, z budynków teatralnych usunie łatwo zapalne dekoracye, zmniejszy koszta przedstawień, a pomimo tego wszystkiego znakomicie podniesie złudzenie.

„Lecz wszystkiego nie wyliczymy. Dość powiedzieć, że Szczepanik zrobił już trzydzieści ośm wynalazków i że gdyby myśli nie były wolne, to doprawdy głowa Szczepanika powinna być upaństwowiona. W swej ogromnej pracowni zatrudnia on wyłącznie tylko polskich inżynierów. Ci młodzi panowie, o twarzach bladych, inteligentnych, z ciemnymi zarostami, uderzają widza swą ruchliwością i nerwowością. Wszędzie, gdzie dzisiejsza technika wznosi się na szczyty, widzieć można takie twarze, ten typ. Bo rzeczywiście, gdzie dziś nie pracują polscy inżynierowie! W Azyi środkowej, w podziemiach Argentyny, na szczytach Kordylierów, nawet w Niemczech. Możnaby powiedzieć, że na ich czele stoi Jan Szczepanik, bo ich hasłem: Naprzód! naprzód!

„Już odchodzę. W ostatniej chwili pada mój wzrok na bronzowe popiersie Sienkiewicza. Oto znowu Polak! Przychodzi mi na myśl „Quo vadis" i tak myślę:

— Jeżeliby, myśląc o Szczepaniku, zapytać: Quo vadis? — to czy podobna dać odpowiedź?"

Z izby sądowej.

Lwów 22 sierpnia.

(Defraudacye w banku „Pius mons").

W uzupełnieniu sprawozdania z wczorajszej rozprawy podajemy najprzód zeznania oskarżonego ks. Mardyrosiewicza.

Pochodzę — mówił ks. Mardyrosiewicz — z rodziców ubogich; matka odumarła mnie wcześnie. W 9 roku życia zostałem przyjęty w poczet wychowanków zakładu sierot fundacyi Torosiewicza we Lwowie, gdzie najlepsze przykłady miałem przed oczyma. Kiedy wreszcie dotarłem do progów uniwersyteckich, mimo 12-letniego pobytu w mieście nie znałem w nim nikogo, tak dalece trzymano mnie w odosobnieniu od świata. Krótko byłem na wydziale prawniczym, poczem zapisałem się na teologię, wstąpiłem do seminaryum i tak z pod jednego rygoru przeszedłem pod rygor drugi. Tu w seminaryum duchownem na dobrze przygotowane serce

---

44)

HURAGAN

Powieść historyczna

przez

Wacława Gąsiorowskiego.

(Ciąg dalszy).

Wosiński spojrzał z podziwem na zawodzącą babę:

— Żubrowa, a wam co? Czegoż desperujecie?!..

— No bo pan kapitan powiedział!... — chlipnęła markietanka.

— Com mówił? Nic! Domyśl tylko, że... że jest spódniczka!...

— Masz ci dyable kaftan!...

— Prawie pewnaś rzecz!... Niby nie pewnego... lecz pan Dziewanowski powiadał mi właśnie...

— Powiadał? Powiadał?!...

— Niby krewna pana Dziewanowskiego przypadła porucznikowi do serca...

— Przypadła! Cha! Oczajdusze, pijawki... lisy... pewno go podeszli i, poczuwszy tęgą zdobycz, usidlili!

— Skądże znowu! Zawsze wam świta po głowie przed czasem... Dziewczyna, słyszę, dzielna, pułkownikówna... i imć Gotartowskiego bodaj powinowata... przypadła do serca i koniec.

— Przypadła?! Musi być jak malowanie chyba!...

— Skąd znowu!?

— A! — uraziła się markietanka — przecież by pan porucznik za lada fartuszkiem nie poleciał!..

— Różnie bywa! — Czasem to młodzieniaszka żółtodziubego taki sentyment opęta, że ani pyta a do staruchy, niby ćma do ognia leci!.. Za nic nie ręczę. I wcale bym się nie zdziwił, żeby bohdanka porucznika była dwa razy od was starszą!...

— Dwa razy!... To chyba za jednym zamachem narodziły by mu się prawnuki!...

— Pewno! Pewno!...

— Ale pan kapitan sobie ze starej baby dworuje, a tu porucznika naszego żałość spiera!..

— I cóż na to poradzić! Trzeba go wziąć chyba na spytki! Ale i to ostrożnie, aby, czego Boże broń, nie urazić. Bo natura taka, to gorzej ślimaka — zasunie się w skorupę, że w cztery konie języka nie wyciągniesz!...

Słowa Wosińskiego głębokie na markietance wywarły wrażenie. Myśl, że Floryan ma zgryzoty, z któremi się tai, które dusi w sobie spokoju jej nie dawała, a głównie dręczyła ją niepewność, gdyż przypuszczenia Wosińskiego wydały się jej bardzo wątpliwemi.

Żubrowie zajmowali izbę tuż obok Floryana. Drzwi, i to nie dość szczelne, ich przegradzały. Markietanka zawzięła się dociec tajemnicy Gotartowskiego i, nic nie mówiąc mężowi, śledziła każdy ruch, każde słowo porucznika, a w nocy zrywała się i nadsłuchiwała podedrzwiami. Przez dni parę zabiegi Żubrowej były próżne, Floryan milczał jak grób, nocami dyszał ciężko, lecz słowo skargi nie dobyło się z jego ust. Aż pewnej nocy Żubrowa, czuwając, w półśnie, usłyszała jakiś cichy a rzewny szept. Markietanka zakradła się na palcach pod drzwi porucznika i zdawało się jej jakby posłyszała wymawiane z przejęciem imię: „Zośka! Zośka!..."

Żubrowa przytuliła ucho do odrzwi, lecz szept umilkł, tylko coś niby westchnienie głębokie, rozległo się za ścianą.

Nazajutrz skoro świt, wpadła Żubrowa do Wosińskiego:

— Pokornie melduję, jest Zośka!...

— Co za Zośka? Kto taki?! — obruszył się kapitan, nie rozumiejąc, o co idzie.

— Zośka, mówię!...

— Daj ją katu! Co mnie do jakiejś Zośki!...

— Nasz porucznik ma ją na wnętrzu!...

— Porucznik! A!?... Jakże bo?!...

Baba opowiedziała kapitanowi, co była usłyszała. Wosiński targnął się niechętnie.

— Wam po prostu przyśniła się jakaś tam Zośka i koniec! Z igły widły robicie... radzę się z tem niewygadywać, bo imć Gotartowski gotów się pogniewać!...

— Kiedy słyszałam na własne uszy!...

— Dziad swoje, baba swoje!... Co wam do tego. Przyjdzie czas, to się dowiecie. Koniecznie chcecie porucznikowi w ranę, jeżeli ją ma, paluch wetknąć!!?...

Żubrowa głową pokręciła i odeszła. Nie zdało się jej, aby Wosiński miał racyę. Przekora jakaś mówiła do niej:

— A przecież byś mu ulżyła! A ulżyłabyś!...

Markietanka zazwyczaj rano opatrywała odzież porucznikowi, a posługi drobne około niego czyniła, nie dając się nikomu w tem wyręczyć. Od Wosińskiego poszła wprost do Floryana i, według zwyczaju, dreptać zaczęła po izbie a dogadywać. Gotartowski, nawykły do zrzędzenia baby, nie zwracał na Żubrową uwagi, cały pogrążony w myślach.

Markietanka, nie zbita z tropu obojętnością Floryana, ozwała się znienacka:

— Wstawać pora, panie... por... kapitanie!... Słońce wysoko, choć na dworze ciemno!... Na śnieg się zbiera... tylko patrzeć, a będzie południe.

— Tak, tak! Czas, czas! — mruknął Gotartowski, zaczynając się powoli odziewać.

— Mnie samej żal pana... kapitana! Gdzie to, sztuk taki drogi bez wytchnienia zrobić!.. Nie taki się odpoczynek paniczowi należy!... Niby to ja nie wiem!...

— Hm! hm! — bąknął pod nosem Floryan.

— Inny, na panicza miejscu, dobrze sobie wywczasu a dobrości wszelakiej zażywa. W cieple siedzi, zabawia się, hula z pannami i co mu tam wojny!... Jejmościanek serduszka to niby pukają do szabelki a mundura, ale, jak ci sobie pocznie ważyć niejedna, że to w odosobnieniu a rozłące żyć trzeba, to wnet i szlify sobie zbrzydzi... i hajda za pierwszym gachem - piecuchem poskoczy!... Et! Ja tam stara baba jestem i już!... Mnie to i wszystko jedno, czy mnie „frebra" w izbie zmoże czy kula liźnie... i tak się kołaczę za moim. Ma się niegodziwiec bałamucić a zaniewieruszyć sam, niechże przepada razem!... „A już cię nie opuszczę aż do śmierci" — przysięgaliśmy sobie oboje, jako żywo, w Niewirkowie, pod Zamościem, przed ołtarzem Świętego Antoniego!. Tedy trzeba strzymać... choć dyabeł nie raz kusi rogi staremu przyprawić! I tak się człek tuła!.. Co tam, ani nam za kim tęsknić... ani czego się spodziewać!... Ale... bo właśnie najgorzej... kiedy na kogo napadnie w żołnierskim stanie medytacya... to ci go tak rozbierze, że kosteczki w nim nie ostawi... Choć siedzieć, oczyma łypać i na księżyc się gapić. Ni do jadła, ni do napoju, ni do zabawy, ni do roboty!.. Nie mówię, każdy ma... przecie... każdy ma... swoją Zośkę... co mu dokuczy!!...

Floryan, który był nie zwracał uwagi na dogadywanie baby, na ostatnie słowa drgnął i zagadnął niespokojnie:

— Co? co wy mówicie?!..

— Nic! — odrzekła Żubrowa, udając obojętność — powiadam, że... że... każdy ma swoją Zośkę, co mu dokuczy...

— Jaką znów Zośkę?!

— Taką!.. Zośkę panie kapitanie!..

Gotartowski poruszył się niespokojnie.

— Żubrowa!.. Wy coś wiecie?!..

— Wiem panie kapitanie...

— Wszystko wiecie.?...

— Wszystko, panie kapitanie! — odrzekła Żubrowa, mrugając znacząco — a szepcąc półgłosem do siebie: — Święty Antoni, nie opuszczaj, choćżem zełgała!...

— Wiecie wszystko! — powtórzył melancholijnie Floryan. — No... i jak wam się zdaje?!..

— Hm!.. Panie kapitanie... tego!..

— Chcecie powiedzieć, że się rozmaicie zdarza!?...

— Tak właśnie! — potwierdziła szybko markietanka.

— Chociaż kto wie... zaklęła się!...

— Zaklęła!..

— Toż właśnie!...

— Właśnie!... Ba!...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

i umysł padały znów ziarna najpiękniejszych nauk chrześcijańskich, które chwytałem tem chętniej, że przemawiały mi do serca. Starałem się je także w życie wprowadzać. Ze wszystkich tych pięknych zasad najsilniej mi utkwiła w pamięci zasada, która powiada, że każdego człowieka należy uważać za dobrego tak długo, jak długo nie przekonamy się, że jest złym. Podług niej chciałem urządzić sobie życie. Z pewnością nie wielu sobie bierze taką nić przewodnią, bo to jest wprawdzie piękna zasada, ale nie na dzisiejsze czasy walki o byt i prawa silniejszego. Mówię to wszystko dlatego, aby przyczynić się z mej strony o ile możności do wyjaśnienia tej sprawy niezrozumiałej, niezrozumiałej dlatego, bo podsądnym jest ksiądz...

A więc przez lat 15 pozostawałem we Lwowie utrzymywany kosztem obcym, przez cały ten czas zaś nigdy niczego nie potrzebowałem i nigdy też faktycznie na własność nic nie posiadałem. Nie wiedziałem też wogóle, czy i jaką wartość mają pieniądze, a wyobrażałem sobie, że gdy raz przyjmę posadę kapłańską, to nietylko staruszka ojca będę mógł utrzymać, ale jeszcze z dwóch lub trzech biednych studentów. Wyobrażałem sobie, że wszyscy ludzie są prawi, szlachetni i uczciwi, że nikt nie będzie nigdy godził na całość mojej kieszeni... ani z obcych, ani z najbliższych przyjaciół...

Tak wstąpiłem w świat w 24-ym roku życia. Prędko jednak przekonałem się, że niektóre pojęcia moje o stosunkach na świecie są błędne. Przekonałem się, że utrzymanie moje początkowe zaledwie dla mnie samego wystarcza i pomoc dla starego ojca przychodziła mi tylko z największą ofiarą i poświęceniem moich przyjemności. Miałem prócz tego już wówczas to usposobienie, że oprzeć się nie mogłem, gdy mnie ktoś o coś prosił, ostatni cent wydawałem dla ratowania przyjaciela, a kiedy mi zabrakło, to szedłem do starszego księdza z prośbą o pożyczkę dla siebie, którą się potem dzieliłem z przyjacielem. Taki stan rzeczy trwał niedługo. Wnet z wikarego stałem się katechetą we Lwowie. Jakie na tem stanowisku położyłem zasługi, nie moją rzeczą oceniać; dość, że mój protektor śp. ks. arcybiskup Isakowicz uznał mnie za zdatnego do objęcia bardzo wybitnego posterunku: probostwa w Horodence. Parafię tę zastałem bardzo zaniedbaną; właśnie spaliło się probostwo w czasie strasznego pożaru tego miasta. Doniosłem o tem arcybiskupowi, pisząc, że mam zamiar drogą urzędowej konkurencyi je odbudować. Ale arcybiskup zakazał mi użyć tej drogi, mówiąc, że dyecezyanie sami chętnie dadzą to, co dać powinni. Usłuchałem go, ale w tym wypadku on przecenił dobre chęci ludzkie. Zapożyczyłem się wtedy na parę tysięcy zł., a dyecezyanie złożyli tylko 1200 zł., tak, że od reszty długu przez lat blisko pięć sam płaciłem procenta. Mimo, że miałem do 2000 zł. dochodu, nie mogłem wskutek tego nic zaoszczędzić, zwłaszcza, że i tam nie umiałem nikomu odmówić pieniężnej pomocy, a o tę pomoc zgłaszało się dużo, zwłaszcza z okazyi pożaru miasta.

Gdy w r. 1889 zawakowała we Lwowie kanonia przy kapitule ormiańskiej, ks. arcybiskup rozpisał konkurs. Ja się nie podałem i wskutek tego otrzymałem od ks. arcybiskupa list z wyrzutami, czemu tego nie uczyniłem, że on właśnie życzył sobie mieć mnie we Lwowie. W odpowiedzi wyłuszczyłem mu moje motywa zarówno natury materyalnej, jak inne ważniejsze natury społecznej. Zresztą obiecałem się podać za pół roku i w drugiej połowie r. 1889 dostałem kanonię lwowską. Uposażenie na niej było liche, — wynosiło 1000 zł. z początku — dlatego przyjąłem równocześnie posadę dyrektora i oceniciela banku „Pius Mons“, nie wiedząc, jaka odpowiedzialność jest połączona z tą posadą, nie wiedząc, że setki i tysiące umysłów pracować będą nad tem, aby mnie okpić...

Od pierwszej chwili, gdy rozeszła się po mieście wieść, że nastał nowy dyrektor, natychmiast na wyścigi zaczęto pracować nad moją ruiną. Nic dziwnego, gdzież bowiem miałem sposobność poznać tajniki jubilerstwa? W akcie oskarżenia jest powiedziane, że znawcy uważają mnie za dobrego taksatora fantów; ale to chyba odnosi się tylko do lat ostatnich, kiedy nabrałem pewnej wprawy. Było mnóstwo grup fantów, na których mnie oszukiwano. I tak co do pereł, nie wiedziałem, że wartość ich rośnie w miarę im są większe, okrąglejsze i lepsze światło posiadają, i brałem sznury pereł podłego gatunku, dając na nie więcej pieniędzy, niż były warte. Naturalnie, kto zrobił taki dobry interes, biegł do drugiego i doradzał mu, aby jeśli ma perły, szedł je natychmiast zastawić u nowego dyrektora. Takich pozycyi miałem wnet z 40 lub 50, bo zanim pierwsza taka pozycya, na której mnie oszukano, przyszła do licytacyi, minęło 15 i 16 miesięcy, a przez szereg tych miesięcy ludzie mieli dość czasu do przyniesienia pereł w dostatecznej ilości. Albo np. t. zw. szargony czyli białe topazy dla nieznawcy mogą uchodzić nawet za brylanty, i ja też brałem jedne za drugie. Sędzia śledczy znalazł u mnie broszkę z takim szargonem; jest to pozostałość z mnóstwa takich fantów, za które mi na licytacyi nikt centa dać nie chciał. Albo np. zaczęto mi przynosić mnóstwo pierścionków złotych, które się potem okazały srebrnymi, powleczonymi cienką warstwą złota. Niejaki Marcichowski, doświadczony znawca, który mi w początkach pomagał, ostrzegał mnie, że jeżeli tylko żydzi zaczynają pewnego artykułu przynosić do banku za wiele, to w tem jest z pewnością jakieś oszustwo. Zanim jednak poznałem różne skomplikowane sposoby odkrywania tych oszustw, upłynęło kilka miesięcy, a przez ten czas co dnia po dwie lub trzy partye z takimi pierścionkami przychodziły. Inny fachowiec, Radecki, poradził mi jeden z tych pierścionków puścić na licytacyę jako złoty i rzeczywiście złotnik tutejszy Kohn kupił go, potem przyszedł do mnie i mówi: „Toż to srebro!“ Na to wytłómaczyłem mu, że naumyślnie tak uczyniłem, aby się przekonać, czy to tylko ja sam mogę się dać okpić. Wszystkie te pierścionki potem musiałem zatrzymać i albo je rozdawałem, albo sprzedawałem po 40 ct. Oprócz tego bywały i inne wypadki fatalne. Przyjmowałem szkło zamiast brylantów. Raz dostałem rzadki brylant składany, w którym góra była dyamentowa a dolna część ze szkła: nie dowierzając w prawdziwość tego brylantu, zrobiłem próbę i zepsułem go. Złoto ze stemplem rządowym okazało się fałszywem. Były także wypadki niegodziwości nie do uwierzenia. Przyszedł np. raz jeden żyd, żeby zastawić złoty zegarek z łańcuszkiem. Przekonawszy się, że to szczere złoto, ofiarowałem mu pewną kwotę, on na to oburzony rzekł: „To mnie samego więcej kosztuje!“, wsadził zegarek do kieszeni i wyleciał za drzwi, po chwili jednak jakby namyśliwszy się, wrócił się, oddał mi zegarek, wziął pieniądze i poszedł. Cóż się jednak potem pokazało? Oto żyd ów miał w kieszeni drugi zegarek tombakowy tego samiuteńkiego fasonu, z łańcuszkiem i ten mi oddał zamiast prawdziwego. Takie to ciche walki rozgrywały się wciąż między taksatorem banku „Pius Mons“ a nieznajomymi oszustami, ja zaś byłem w nich ofiarą.

Tu chciałbym nawiasem powiedzieć, co myślę o handlu drogimi kamieniami...

Przewodniczący. Niech pan to pominie.

Oskarżony. Otóż wobec tych zakusów najrozmaitszych ludzi stałem całkiem bezbronny. Byłem kilka razy u arcybiskupa, przedstawiając mu, że bank bez odpowiedzialnego fachowego taksatora istnieć nie może, on jednak dawał mi zawsze tylko krótką odpowiedź: „dawaj mało, to nie stracisz“. Tu dodać muszę, że moi poprzednicy na dyrekturze Romaszkan, ks. Aksentowicz również ponieśli duże straty na tym posterunku, chociaż to byli ludzie nie ubodzy jak ja, lecz pochodzący z bogatych ormiańskich rodzin, a wiadomo, że Ormianie dawniej nie bawili się uprawą ziemi, lecz zajmowali się handlem i to głównie klejnotami, więc znawstwo klejnotów niejako we krwi mają. A mimo to ś. p. ks. Aksentowicz stracił 17,000 zł. za czasów swego urzędowania na taksatorstwie, a gdy ja po nim nastąpiłem, był tak pewnym dalszych strat, że nawet w testamencie swoim do rąk arcybiskupa złożył 4000 zł., aby pokryć straty pierwszego roku mego urzędowania, za które nie mogłem być odpowiedzialny. Faktycznie z tych pieniędzy nie wiele zostało i już w r. 1893 straty, które poniosłem na taksowaniu klejnotów, wynosiły 35.000 do 40.000 zł. Tymczasem nadeszła regulacya waluty. Nie znając się na handlu, nie utrzymując stosunków z kupcami, nie miałem najmniejszego pojęcia, żeby ta regulacya mogła wpłynąć na interesa banku, bo srebro spadnie w cenie. Raz posłałem pewną ilość srebra do urzędu cłowego do stopienia, żeby za nie otrzymać gotówkę, lecz woźny mój wrócił z oświadczeniem, że srebra przyjąć nie chcieli. A w banku mieliśmy podówczas około 80.000 zł. w srebrze. Rząd zaniedbał uregulować stosunki posiadaczy srebra i oddał ich na łaskę i niełaskę żydów. Nie mogłem również wywierać presyi na osoby, które srebro zastawiły, aby mi część strat wynagrodziły, przeszkadzał mi w tem nasz przestarzały statut z r. 1792. Ostatecznie poniosłem znaczne straty, gdy przyszło do licytacyi zapasów srebra w banku; straty te byłyby jeszcze większe, gdyby nie to, że część srebra zabrałem do siebie i sprzedając je z wolnej, ręki uzyskiwałem nieco wyższe sumy. Przed arcybiskupem Isakowiczem nie chciałem się przyznać do strat, bo bałem się zobaczyć na tej szlachetnej twarzy ból, bo wiedziałem, że on zaufał nietylko mojemu charakterowi, ale i rozumowi. Byłem zresztą ambitnym i nie chciałem ustąpić z banku, pod wrażeniem, że stałem się powodem bardzo znacznych strat. Sumienie mnie już niepokoiło, chociaż na razie ponosiłem tylko winę lekkomyślnego szafowania groszem banku. Zabierać fanty z banku, zastawiać moje fanty po wyższej cenie i t. d. zacząłem dopiero w jesieni r. 1896.

Tu oskarżony, widocznie silnie rozdrażniony, zaczyna mówić w przeciwieństwie do dotychczasowych, jasno i dobitnie wygłoszonych zeznań, powolniej i bezładniej; wreszcie przerywa swą mowę i w dalszych swych zeznaniach idzie już śladem pytań przewodniczącego, przyznając po kolei prawie wszystkie fakta, znane z aktu oskarżenia. Zaprzecza tylko stanowczo, jakoby brał gotówkę wprost z kasy; działo się to chyba tylko w ostatnim roku, kiedy już stał na wulkanie, mającym lada chwila wybuchnąć. Odpiera również zarzut aktu oskarżenia, jakoby chodził do skarbca w godzinach pozaurzędowych i udowadnia, że ponieważ do skarbca potrzeba było aż 3 kluczy, a nie dwóch, a jeden klucz był zawsze u kasyera, więc mógł tam dostać się tylko w godzinach urzędowych. Przytacza na swoje uniewinnienie, że nie znał się wcale na buchalteryi, więc też nie uwidoczniając w bilansach rzeczywistych strat, nie miał pojęcia, że dopuszcza się tym sposobem fałszerstwa. Odpiera dalej zarzut, jakoby zatrzymał dla siebie kilka drobniejszych kwot, nadesłanych mu prywatnie przez właścicieli różnych zastawów. Co się zaś tyczy kradzieży zegarka niklowego, którą mu zarzuca akt oskarżenia, to rzecz się miała tak: Ten zegarek przyniósł pewien pan, prosząc bardzo o przyjęcie go w zastaw. Oskarżony dał mu pewną kwotę, nie mógł jednak tak lichego fantu składać do skarbca, zatrzymał go więc w swojem biurku. Potem jednak, mając na uwadze, że zegarek, jeżeli nie chodzi, to psuje się, postanowił go jakiś czas nosić w swojej kamizelce, i ten zegarek przy nim znaleziono.

Jakie kwoty wybrał obwiniony pod różnymi pretekstami w banku, tego dziś wcale obliczyć nie może, zna tylko w przybliżeniu podane w akcie oskarżenia kwoty, które wydał bądź to na przedsiębiorstwa, bądź to na pożyczki dla przyjaciół. Spółkę blacharską z Reinischem zawarł w r. 1894, kiedy deficyt w banku wynosił około 40.000 zł., a obwiniony z ambicyi wolał zaryzykować dalsze kwoty, niż przyznać się do wszystkiego przed arcybiskupem. Wówczas zgłosił się do niego niejaki p. Kobylański z wynalazkiem pieca spalającego dym. Model takiego pieca sporządzono właśnie w fabryce „Dziadonia“ i robiono z nim próby; na jednej z takich prób był obecny ówczesny dyrektor Kasy oszczędności Zima i bardzo tę rzecz pochwalił. Na te próby, a potem zabiegi opatentowania tych i dalszych wynalazków, jak pługa szuflowego, parasola nowej konstrukcyi itp., poszło też trochę grosza.

Potem opowiadał oskarżony o swoich przedsiębiorstwach naftowych. Gdy go dr. Aschkenazy zaczął namawiać do zakupna terenu w Schodnicy, oskarżony nie wiele miał zaufania do tego interesu, ale chwycił się go, bo już istotnie tylko coś nadzwyczajnego mogło go wtedy uratować. Zresztą w interes ten został raczej wciągnięty, niż żeby sam go zainicyował. Rzecz miała się tak, że oskarżony był drowi Aschkenazemu osobiście winien pewną kwotę; otóż Aschkenazy wezwał go do zwrotu długu w tej formie, żeby wziął udział w zakupnie upatrzonego przezeń terenu; „wieleby o tem było do opowiadania“, dodaje oskarżony. Na tę spółkę wydał 50.000 zł., a zysku nie miał żadnego, mimo to utrzymuje na podstawie opinii fachowców, że gdyby jeszcze wiercono głębiej o jakie 20 lub 30 metrów, toby nafta trysnęła.

Stanowczo wreszcie zaprzecza oskarżony zarzutom aktu oskarżenia, jakoby funduszów z banku używał na życie zbytkowne. Miał wszakże rocznie własnych dochodów do 3000 zł. i to mu na własne potrzeby wystarczało.

Przewodniczący. Akt oskarżenia zarzuca panu, żeś pan utrzymywał kosztowne stosunki z kobietami.

Osk. O stosunkach niewłaściwych ja absolutnie nic nie wiem i żadnych nie miałem. Lubiłem towarzystwo — to prawda, byłem wesołym, lubiłem być przyjmowanym i wzajemnie przyjmować u siebie — ale coś takiego nie było nigdy.

Obrońca dr. Dwernicki. Dlaczego ks. kanonik zgłosił się do prokuratora a nie do śp. arcybiskupa?

Osk. W tym czasie byłem bardzo zdenerwowany — ale do kroku tego skłoniło mnie więcej pobudek. Najprzód widziałem rozpacz p. Andlera, mego wierzyciela, którego zrujnowałem. Potem widziałem, że już niema wyjścia, gdy z końcem marca br. pokazało się, że nie jestem już w stanie dalej prowadzić kopalni w Schodnicy. Byłem raz wprawdzie w domu arcybiskupa, ogarnięty nagłą chęcią wyspowiadania się przed nim, ale na jego widok słowa mi w gardle stanęły i nic mówić nie mogłem, gdy mnie zaś zagadnął, po co przychodzę, zmyśliłem coś na prędce i oddaliłem się. Jednak sumienie wciąż mnie niepokoiło, czułem, że potrzeba poddać się jakiejś ekspiacyi. Wtedy spadło na mnie w kwietniu szkontrum. Nie mogąc tego przenieść na sobie, żeby się poddać temu strasznemu wstydowi, jaki mnie czekał u ks. arcybiskupa i aby widzieć ten straszliwy ból na jego twarzy, a chcąc w każdym razie karze się poddać, zgłosiłem się sam do prokuratora.

Obrońca. Czy gdyby ks. kanonik chciał deficyt w banku dalej ukrywać, było to możliwem?

Przew. Uchylam to pytanie.

Obrońca. Na pożyczki dla przyjaciół stracił ks. kanonik około 100.000 K., dając je tylko na słowo honoru. Czy liczył ksiądz przytem na rewanż?

Osk. Tak jest, w niektórych wypadkach takie wzajemne zaufanie postawiło mnie na nogi.

Obr. Czy ksiądz miał jaką osobistą korzyść ze stosunku z Janikowskim, któremu ksiądz pożyczył 18.000 K.?

Osk. Żadnej korzyści nie miałem; dłużnika tego odziedziczyłem niejako po moim poprzedniku ks. Aksentowiczu, który mu również dużo pożyczał. Jeżeli zaś dług ten zahipotekowałem na realności jego siostry na rzecz swoją a nie na rzecz banku, to dlatego, że bankowi nie wolno było udzielać pożyczek na realności.

Obr. Dlaczego ks. kanonik staje teraz przed nami w cywilnem ubraniu i czy to może ma jaki związek z ekspiacyą winy?

Przew. (do oskarżonego). Uwalniam pana od odpowiedzi na to pytanie.

Obr. (do przewodniczącego). Czy to pytanie zostało uchylone czy tylko zostawione dyskrecyi oskarżonego?

Przew. Uchyliłem je.

Obr. W takim razie odwołuję się do uchwały trybunału, gdyż do ocenienia pobudek czynów podsądnego i jego charakteru potrzeba poznać także pobudki jego teraźniejszego zachowania się.

Przew. (po krótkiej naradzie z członkami trybunału). Trybunał zatwierdził moją odmowę.

Potem przystąpiono do postępowania dowodowego.

Pierwszy świadek p. Antoni Bohdanowicz, właściciel dóbr, członek rady nadzorczej „Pii Montis“, wyraża się o obwinionym przez „pan“ i opowiada różne szczegóły o przeprowadzanych w banku tym szkontrach. Podczas jednego szkontrum uwagę świadka zwracało to, że wszystkie większe fanty były wykupione. Świadek pierwszy zrobił ks. Mardyrosiewiczowi awanturę o to, że policę i książeczkę przemyskiej kasy oszczędności zastąpił akcyami fabryki drzewnego spirytusu. Ks. Mardyrosiewicz wciąż zaręczał, że te papiery mają wartość; sprawa oparła się aż o arcybiskupa, ażeby zaś niezbicie przekonać ks. Mardyrosiewicza o bezwartościowości tych papierów, poszedł świadek z innym jeszcze członkiem Rady do kantoru p. Liliena, gdzie dowiedzieli się, że to przedsiębiorstwo fabryczne jest właśnie już w likwidacyi. Podczas innego szkontrum, świadek zażądał jakiegoś większego fantu, ks. Mardyrosiewicz powiedział, że ma go w kasie u siebie; potem jednak świadek ze swym kolegą zaczęli sprawdzać jakieś rachunki i zapomnieli całkiem o tym fancie. Opowiada wreszcie świadek o szkontrum z 16 kwietnia b. r., które zaskoczyło ks. Mardyrosiewicza tak niespodzianie, że wolał nie wręczać nawet kluczy komisyi, lecz wprost pójść do prokuratoryi. Gdy ks. Mardyrosiewicz, który rzekomo oddalił się na chwilkę, żeby przynieść klucze, nie nadchodził, musiano zawołać ślusarza, żeby rozbił kasę. W kasie była książeczka lwowskiej Kasy oszczędności na 6.000 koron i książeczka banku zaliczkowego na 4.000 K. Świadek miał zamiar obie zaraz zeskontować, aby na wszelki wypadek mieć gotówkę w kasie, w tem ostrzeżono go, że ks. Mardyrosiewicz właśnie zeznał w prokuratoryi, że pierwsza książeczka jest fałszywą. Na szczęście druga okazała się prawdziwą.

Świadek Teofil Isakowicz, starszy komisarz skarbu, bratanek arcybiskupa, opowiada, że tylko z wielką niechęcią na usilne prośby stryja wstąpił do Rady nadzorczej banku. Na bankowości świadek wcale się nie znał, do przeprowadzania szkontrów nie istniała żadna instrukcya. Świadek wiedział tylko, co robili poprzednicy i starał się robić to samo, zdawało mu się, że wystarczy sprawdzić, czy stan kasy zgadza się z rachunkami i czy depozyty są w porządku. Depozyty przeglądano wyrywkami, bo niepodobieństwem przecież było sprawdzać szczegółowo 12000 pozycyi. Ks. arcybiskup polecając świadkowi przeprowadzenie szkontrum, wskazywał mu zwykle kierunek, w jakim ma pójść to szkontrum, i tak np. raz kazał mu sprawdzić bilans i przekonał się, o ile dochody banku wystarczają na pokrycie podatków. Mając ten główny cel przed oczyma, świadek razem z p. Bohdanowiczem zapomnieli jakoś żądać poraz drugi od ks. Mardyrosiewicza okazania owego fantu, o którym on powiedział, że ma go u siebie „na górze“. Świadek mniemał zresztą, że „na górze“ oznacza kasę podręczną depozytaryusza ks. Aksentowicza, położoną na nieco wyższem miejscu w lokalu banku, w której to kasie chowano bardziej wartościowe rzeczy. Podczas ostatniego szkontrum świadek nie był obecnym we Lwowie. Zdaniem jego, wobec tego, że ks. Mardyrosiewicz sam sobie prowadził wszystkie księgi, niepodobieństwem było znaleźć jakichś nieporządków, chyba podczas jakiegoś nagłego szkontrum; takie nagłe szkontrum raz rzeczywiście spadło na ks. Mardyrosiewicza wtedy, gdy był w kasie brak gotówki 8000 zł., którą on potem musiał pokryć swymi papierami. Do tego deficytu zresztą ks. Mardyrosiewicz sam świadkowi się przyznał tuż przed rozpoczęciem szkontrum. Do oskarżonego świadek odniósł się z zupełnem zaufaniem.

Obr. Czy panu wiadomo co o prywatnem życiu oskarżonego?

Świadek. Ja księdza Mardyrosiewicza znam lepiej tylko z dawnych lat, kiedym właśnie kończył gimnazyum, a potem chodził na uniwersytet. Wówczas często stykałem się z nim i pamiętam jeszcze, jak nieboszczyk arcybiskup mawiał do mnie: „a ucałuj tam odemnie obu księży Janów!“, co odnosiło się do ks. Mardyrosiewicza i śp. ks. Aksentowicza.

Oskarżony (Zakrywa sobie dłońmi twarz, widocznie płacze z cicha).

Obr. Czy to był charakter tęgi, silny, czy miał tylko dobrę chęci?

Świadek. Na to mi trochę za trudno odpowiedzieć, gdyż byłem wówczas za młody do oceniania charakterów ludzi. Mogę tylko potwierdzić, że miałem wówczas nadzwyczajną sympatyę do ks. kanonika. Przyjaźń nasza datuje się z czasów, kiedym ja chodził do gimnazyum, a on był w seminaryum i często przychodził do stryja Znałem go wtedy jako człowieka bardzo zacnego i najpiękniejszych zasad. Kapłanem był wzorowym, na miejscu, i lubo nie był ascetą ani bigotem, unikał wszelkich ekstrawagancyi. Nawet i na mnie korzystny wpływ wywierał, bo wprowadził mnie do Towarzystwa św. Wincentego a Paulo, czem stryjowi nadzwyczajną pociechę sprawiłem.

Obr. A czy pan wówczas zauważył, że ks. Mardyrosiewicz daje się często, jak to mówią, „naciągać“?

Świadek. O późniejszych czasach nie wiem, bo jak mówiłem, nie stykałem się potem często z ks. Mardyrosiewiczem; od wielu jednak osób słyszałem, że to charakter nadzwyczaj miękki i łatwo dający się wyzyskiwać. Dodam jeszcze, że śp. arcybiskup przed śmiercią przebaczył ks. Mardyrosiewiczowi i przebaczenie to wyraził przed ks. Hryniewickim i przed namiestnikiem.

Świadek ks. kanonik Mojżesowicz, likwidator i kontroler banku, widział się z ks. Mardyrosiewiczem wnet po jego zgłoszeniu się do prokuratoryi i zapytał go: „Co ks. kanonik uczynił?“ „Musiałem ciężar z serca zrzucić — odparł oskarżony — ja już jestem stracony, ale wy księże ratujcie bank“. Potem wręczył mu kartki zastawnicze różnych banków i inny jakiś plik papierów. Było to w pomieszkaniu ks kanonika Mardyrosiewicza.

Obr. Czy ks. kanonik jako likwidator, wiedząc, że nie ma żadnego zastawu, że fant jest fikcyjny, byłby wypłacił pieniądze?

Przew. Uwalniam świadka od odpowiedzi na to pytanie.

Odczytano jeszcze statut banku z r. 1792, poczem przewodniczący przerwał rozprawę do dnia następnego.

Dzisiejsza rozprawa rozpoczęła się przesłuchaniem świadka ks. Tomaszewskiego, który był depozytaryuszem w banku. Czynność jego polegała tylko na wypisywaniu dat z kart zastawniczych do osobnej księgi i odnoszeniu fantów do depozytu.

Przew. Czy nie wzbudzało to podejrzenia księdza, gdy strona się zgłosiła po fant i na razie tego fantu brakowało?

Św. Tak jest, to mnie niepokoiło, ale przestało mnie niepokoić, gdy ks. Mardyrosiewicz raz powiedział komisyi szkontrującej, że pewne fanty chowa do kasy wertheimowskiej.

Prok. Więc ksiądz nie kontrolował potem fantów? Przecież sama nazwa „depozytaryusz“ oznaczałaby człowieka, który jakieś rzeczy przechowuje i za nie odpowiada.

Świadek powiada, że fantów nie kontrolował; nawet, gdy jaki depozytaryusz oddawał urzędowanie swemu następcy, fantów nie kontrolowano.

Prok. A więc ksiądz uważał swoją czynność tylko za formalną, a posadę niejako tylko za honorową?

Świadek, dość lakoniczny w odpowiedziach, milczy na to.

Prok. Czy inni funkcyonaryusze mogli się sprzeciwić ks. Mardyrosiewiczowi, gdyby widzieli, że jakiś fant był nieodpowiedni, lub że za wielką dano na niego pożyczkę?

Św. Nie, tylko dyrektor miał do tego prawo, bo on był odpowiedzialny za straty.

Prok. Proszę o zanotowanie do protokołu, że świadek powiedział, iż tylko dyrektor miał do tego prawo.

Obr. Ale proszę także o zanotowanie słów, „bo on był odpowiedzialny za straty“. Proszę księdza, gdyby się ksiądz przekonał, że jakiegoś fantu niema, czy ksiądz zapisałby go mimo to do księgi według kartki?

Przewodn. Uchylam to pytanie.

Obr. To pytanie dla mnie jest bardzo ważne, bo idzie mi o to, czy władza ks. Mardyrosiewicza rzeczywiście sięgała tak daleko, że nikt nie mógł przeciw niemu protestować? Dlatego odwołuję się do uchwały trybunału.

Przew. Trybunał zatwierdził moją decyzyę.

Świadek Wład. Aksentowicz, depozytaryusz banku, następca poprzedniego, między innymi szczegółami zeznaje na korzyść oskarżonego to, że wprawdzie ks. Mardyrosiewicz sam kupował precyoza na licytacyi banku i potem je znów zastawiał, ale miał je obowiązek wykupić; tymczasem zaś mógł sprzedać dany przedmiot drożej, niż na licytacyi. Co się tyczy nadwyżek z licytacyi, to szły one do kieszeni ks. Mardyrosiewicza, ale się je notowało i po upływie pewnego czasu wracały one do kasy.

Przew. Jakże wracały, kiedy były w kieszeni pana Mardyrosiewicza?

Św. To on wyjmował je ze swej kieszeni i składał do kasy.

Świadek opowiada także, że sam nieraz z grzeczności zastawiał precyoza ks. Mardyrosiewicza w jego zastępstwie, gdy ks. Mardyrosiewicz wstydził się mieć fant w banku.

Wotant radca Filipp. Czy nie uderzało pana pismo ks. Mardyrosiewicza w książeczkach, które sam prowadził?

Św. Nie, bo ks. Mardyrosiewicz nieraz mnie zastępował np. gdy się spóźniłem, lub gdy do mnie przyszedł jaki znajomy. Świadek wyjaśnia także, że powierzchowne szkontrum nic wykryć nie mogło; ostatnie szkontrum namiestnictwa musiało trwać aż miesiąc.

Potem odczytano zeznania św. dra Weigla, który kosztowności swoje wartości 18.000 K. zastawił za 3200 K. i potem ich nie mógł odrazu wydobyć. Ks. Mardyrosiewicz powiedział świadkowi w sekrecie, że te rzeczy zastawił w innym banku, lecz wnet je zwróci i na drugi dzień rzeczywiście zwrócił, mówiąc: „Teraz między nami wszystko po obywatelsku skończone“. Mimo to św. zauważył potem, że wśród oddanych klejnotów brak jest złotego łańcuszka, który znalazł się dopiero po uwięzieniu ks. Mardyrosiewicza. Św. słyszał o gorszących stosunkach oskarżonego z panią G., o wydawanych przez niego bankietach dla artystek sceny lwowskiej i o wynalazkach, którymi się zajmował.

Odczytano także zeznania pani Stankowej, która słyszała, że oskarżony miał stosunek z panią G. i opiekował się jednem jej dzieckiem, którego miał być ojcem.

Osk. Ja opiekowałem się wszystkiemi dziećmi pani G., której rodziców bardzo dobrze znałem i pochowałem. Z panią tą łączył mnie stosunek przyjaźni i życzliwości, a jeżeli ten lub ów sobie coś więcej myślał, to nie moja wina, to są plotki.

Św. Pokorny, kasyer banku, zeznaje między innemi, że oskarżony do kasy podręcznej przystępu nie miał, ale podczas urlopu świadka lub jego choroby wszystkie klucze były w ręku oskarżonego. Świadek potwierdza szczegóły aktu oskarżenia co do tego, że ks. Mardyrosiewicz sam podnosił na zastawy różne kwoty dla swoich przyjaciół.

Św. Mann, woźny banku i służący prywatny oskarżonego opowiada, że czasem w niedzielę przychodzili do ks. Mardyrosiewicza „panowie z teatru“ na kozinę. Była przytem wódka i piwo, wina lub szampana nie było. W karty ks. Mardyrosiewicz nigdy nie grał. Z biura wychodził albo wcześniej niż inni urzędnicy albo razem z nimi.

Odczytano potem zeznania ś. p. ks. arcybiskupa Isakowicza, prezesa banku. Ks. Isakowicz kilka razy tracił zaufanie do ks. Mardyrosiewicza, słysząc zaś, że on się bawi w przedsiębiorstwa, kazał dorobić w ostatnich latach drugi klucz do kasy, tak, żeby dyrektor bez kasyera nie mógł się tam dostać. W końcu oświadcza ks. arcybiskup, że imieniem zakładu nie przyłącza się do postępowania karnego przeciw oskarżonemu.

Także z odczytanych zeznań ks. Dawidowicza z kapituły ormiańskiej okazuje się, że ś. p. arcybiskup nieraz miał wątpliwość co do uczciwości ks. Mardyrosiewicza, potem jednak ulegająo dobrotliwości swego charakteru wierzył mu znowu.

Świadek ten zeznaje także, że powszechnie mówiono o stosunkach oskarżonego z panią Gielową, która wyszła potem za mąż za aktora Stradiota, o libacyach i zabawach, które urządzał w swoim domu. Podobnie zeznaje i ks. kanonik Theodorowicz.

Prokurator (do świadka ks. Mojżesowicza). Gdzie mieszkał ks. Teodorowicz?

Św. O jedno piętro wyżej nad mieszkaniem ks. Mardyrosiewicza.

Prok. A więc mógł słyszeć hałasy w jego mieszkaniu.

Obrońca. A czy gruby mur dzieli ich mieszkania? Czy może w suficie jest dziura, przez którą ks. Dawidowicz mógł porachować szklanki, krążące podczas biesiady u ks. Mardyrosiewicza?

Prokurator protestuje przeciw szykanowaniu swych pytań ze strony obrońcy, a przewodniczący uwalnia świadka od odpowiedzi.

Z innych odczytanych dokumentów ciekawsze były rachunki jubilerskie, wystawione na imię oskarżonego. W rachunkach tych figurują branzolety z brylantami, srebrne kieliszki, cukiernice drogocenne itd. Na zapytanie przewodniczącego, dlaczego to kupował, odpowiada ks. Mardyrosiewicz, że to kupował dla siostry ks. Tomaszewskiego, owo dla swej siostry ciotecznej itd. czyniąc grzeczność osobom, które nie znały się same na klejnotach.

Z jednym z jubilerów miał oskarżony zatargi, gdyż nie spłaciwszy go zastawiał kupione kosztowności. Osk. tłómaczy, że czynił to w ostatnich latach, kiedy się spodziewał ukończenia szybu w Schodnicy.

Po przerwie przesłuchano św. Müllera, radcę rachunkowego namiestnictwa, którego namiestnictwo na prośbę arcybiskupa wydelegowało do szkontrum w banku ormiańskim. Świadek opisuje, w jaki sposób się to szkontrum odbywało, a co do szczegółów powołuje się na swoje pisemne sprawozdanie.

Obrońca dr. Dwernicki stawia wniosek, żeby wobec tego, iż rozprawa wykazała, że czyny zarzucone oskarżonemu kwalifikują się nie jako sprzeniewierzenie, ale jako oszustwo, lub kradzież, trybunał uznał się niekompetentnym i sprawę całą oddał trybunałowi sędziów przysięgłych.

Razprawa trwa dalej.

Ruch przedwyborczy.

Komitet centralny odbył wczoraj posiedzenie, na którem uchwalił tekst odezwy wyborczej, która pojutrze ma się pojawić, oraz zatwierdził szereg kandydatur na kuryę wiejską; kandydatury te będą w przyszłym tygodniu ogłoszone. W końcu wybrał komitet centralny dra Vogla sekretarzem, w miejsce p. Adolfa Cieńskiego, który zrezygnował.

Kandydatem narodowym z okręgu sanockiego kuryi wiejskiej jest p. Włodzimierz Truskolaski. Jan hr. Potocki, proszony o przyjęcie tej kandydatury, oświadczył, że nie kandyduje.

W Złoczowie na odbytem tymi dniami zgromadzeniu przedwyborczem uchwalono jednomyślnie popierać ponowną kandydaturę p. Apolinarego Jaworskiego, prezesa Koła polskiego.

Dr. Binder ogłosił ponownie kandydaturę z miasta Białej

W miejsce hr. Bobrowskiego, który — jak wczoraj donieśliśmy — nie kandyduje, wyłoniła się w wiejskiej kuryi powiatu grybowskiego kandydatura p. Adama Skrzyńskiego, byłego posła ziemi gorlickiej, oraz p. Bolesława Długoszowskiego, inżyniera, właściciela Bobowej.

Wczoraj wieczorem we Lwowie w szko-

le Konarskiego „komitet wyborców II dzielnicy" odbył zgromadzenie przedwyborcze. Dr. Weigel wygłosił na wiecu mowę kandydacką. Zgromadzenie to miało charakter humorystyczny, bo przeważnie zebrali się niewyborcy, a znany pod popularną nazwą „obywatel Sysak z Bajek", wygłaszał — jak dawniej podczas wyborów—swoje satyryczne uwagi.

P. Romanowicz zwołał na wtorek 27 bm. wieczór zgromadzenie przedwyborcze do sali ratuszowej, gdzie zda sprawę ze swej działalności poselskiej i postawi ponownie swą kandydaturę na posła z m. Lwowa.

KRONIKA.

Lwów 22 sierpnia.

Wiadomości urzędowe. Nadzwyczajny profesor dr. Piotr Łada Bieńkowski zamianowany został zwyczajnym profesorem archeologii klasycznej na uniwersytecie krakowskim. — Starosta Roman Szymanowski zamianowany radzcą namiestnictwa.

Bank austro-węgierski na ostatniem posiedzeniu uchwalił wycofać zupełnie banknoty 10 guldenowe oraz puścić w obieg złote 20-koronówki.

Z teatru. Panna Michnowska, para pp. Klimontowicz i Bednarczyk, artyści dramatycznej teatru lwowskiego, przenieśli się na scenę poznańską. — Dyrektor Pawlikowski zaangażował p. Aleksandra Bandrowskiego na dwa miesiące zimowego sezonu operowego, tj. od 16 grudnia br. do 15 lutego 1902.

Opusty w podatkach. Dyrekcya skarbu ogłasza, że w roku 1901 należą się następujące opusty w podatkach bezpośrednich: a) w podatku gruntowym opust 15%, b) w podatkach domowych (z wyjątkiem podatku 5% od dochodu z budynków od podatku domowego czasowo uwolnionych) opust 12½%. Opusty te będą obliczone tylko od rządowej należytości podatkowej z wyłączeniem dodatków autonomicznych i zostaną zapisane przez urzędy podatkowe w książeczkach podatkowych i nakazach płatniczych na te podatki.

Konkursa. Prezydyum sądu krajowego wyższego we Lwowie rozpisało konkurs na posady adjunktów sądowych: 8 w Bóbrce, po dwie w Drohobyczu, Jarosławiu, Kimpolungu, Sadagórze, Storożyńcu, Zastawnie i po jednej w Borszczowie, Brodach, Bursztynie, Busku, Delatynie, Dobromilu, Gródku, Horodence, Kałuszu, Kamionce, Komarnie, Kosowie, Kutach, [illegible], Mościskach, Nadwórnie, Podbużu, Podhajcach, Przemyślanach, Rawie, Rohatynie, Rożniatowie, Skolem, Sokalu, Sołotwinie, Szczercu, Śniatynie, Trembowli, Turce, Żółkwi, Czerniowcach, Gurahumorze, [illegible], Seletynie, Serecie oraz [illegible] posad adjunktów sądowych do rozporządzenia prezydyum sądu krajowego z nieoznaczonym miejscem służbowem. — Nadto rozpisano konkurs na 50 posad radzców sądu krajowego, a to dla Lwowa, Brzeżan, Kołomyi, Przemyśla, Sambora, Sanoka, Stanisławowa, Stryja, Tarnopola, Złoczowa, Czerniowiec, Suczawy i dla 12 sądów powiatowych. Posady te będą obsadzone zaraz, [illegible] liczby kandydatów. Podania należy wnosić w terminie do 4 września.

Załoga lwowska wyruszyła dziś rano na manewry w stronę Brzeżan. Manewry skończą się dnia 7 września.

Panu prezesowi J. Męcińskiemu zdarzył się dziś bardzo przykry wypadek. Jechał on dorożką przez plac św. Jura na ul. Mickiewicza. Konie przestraszyły się cyklisty, pędzącego na rowerze, skręciły nagle w bok tak silnie, że powóz zupełnie się przewrócił. Szanowny prezes wypadł i dość silnie się potłukł, ale na szczęście żadnych niebezpiecznych obrażeń nie doznał.

Dobra Bratkowice sprzedała galic. Kasa oszczędności bardzo pomyślnie. Mianowicie p. Adam Wiktor, właściciel Zahra, kupił 2600 morgów wyciętego lasu i 60 morgów roli i łąk za 309.000 K., z czego gotówką zapłacił 190.000 K. Folwark w drodze parcelacyjnej sprzedaży przyniesie około 200.000 K.; parcelacya i sprzedaż są już w toku. [illegible] Kasa [illegible] przed [illegible] 200.000 [illegible] Steczkowski [illegible] tylko [illegible]

Samobójstwo. W Kosmaczu pow. kossowskiego popełnił samobójstwo przez podcięcie sobie brzytwą gardła [illegible], długoletni [illegible]. Uczynił to prawdopodobnie w przystępie chwilowego obłędu. Pozostawił w nędzy żonę i sześcioro małych dzieci.

Generalna dyrekcya kolei państwowych austryackich, zniesiona wskutek utworzenia ministerstwa kolejowego, ma być — według wiadomości dzienników wiedeńskich — napowrót zaprowadzona, a to rzekomo z tego względu, że ministerstwo kolejowe jest instytucyą bardzo kosztowną, a celom swoim nie odpowiada. Ze sfer oficyalnych nie ma potwierdzenia tej wiadomości.

Proces o ordynacyę rydzyńską. Sejm polski z r. 1775 upoważnił książąt: Augusta, Franciszka i Aleksandra Sułkowskich do założenia w dobrach Rydzyny ordynacyi. Ks. August Sułkowski spisał 17 stycznia 1783 roku dokument fundacyjny i ustanowił porządek prawa dziedziczenia. Według niego mieli pierwszeństwo do ordynacyi potomkowie ks. Augusta, potem ks. Aleksandra, a nareszcie ks. Franciszka Sułkowskiego. W razie wymarcia męskich potomków książąt Augusta, Aleksandra i Franciszka, ordynacya miała przejść w ręce rodów powinowatych, do których należy także rodzina hrabiów Potockich; zaś w razie wymarcia książąt Sułkowskich i ich prawnych agnatów, — w posiadanie polskiej komisyi edukacyjnej, a z dochodów wychowywana być miała młodzież szlachecka na dzielnych i zapobiegliwych obywateli. Obecnie [illegible] jednego [illegible]. Jeśliby linia książąt Sułkowskich wymarła, ordynacya rydzyńska, majątek olbrzymi, przeszedłby w ręce rządu pruskiego, jako prawnego następcy b. polskiej komisyi edukacyjnej, albowiem rząd pruski nie chce mimo postanowień aktu fundacyjnego przyznać prawa pierwszeństwa rodzinie Potockich. Rodzina Potockich wytoczyła teraz skarbowi pruskiemu, a w szczególności jego reprezentantom, tj. rejencyi poznańskiej i kolegium szkolnemu w Poznaniu proces o uznanie następstwa ordynacyi rydzyńskiej w Poznańskiem, obejmującej 40 tysięcy morgów. Pierwszy termin wyznaczono na 3 października przed sądem ziemiańskim w Lesznie. Jako skarżący występują: 1) hr. Tomasz Potocki z Zypi pod Szakami w gubernii suwalskiej, 2) hr. Władysław Potocki z Parzymiechów pod Krzepicami w Królestwie, 3) małoletni hrabiowie Antoni i Karol Potoccy, synowie hr. Władysława Potockiego i 4) hrabiowie August i Stanisław Potoccy z Maskorzewic pod Szczekocinami w Królestwie.

Z Chorostkowa piszą nam 20 b. m.: Dziś złożono tu na wieczny spoczynek zwłoki ś. p. hr. Wilhelma Siemieńskiego-Lewickiego. Zjazd obywatelstwa na pogrzeb tego zacnego człowieka był bardzo liczny. Przybyli obaj hr. Badeniowie Stanisław i Kazimierz, namiestnik hr. Piniński z bratem Stanisławem, hr. Chołoniewski, Jerzy hr. Mycielski z Krakowa, dwaj Potoccy z Buczacza, Józef hr. Gołuchowski, Mieczysław hr. Borkowski z Mielnicy, Artur Cielecki, rodziny Baworowskich, Koziebrodzkich, Postruskich, Micewskich, Skarbek-Borowskich i w. i. Przybyła także deputacya galic. Banku hipotecznego, złożona z pp. Adama Gołuchowskiego, Tchorznickiego, Bielańskiego i Emeryka Matuszewica i złożyła wspaniały wieniec na trumnie zmarłego. Włościan przybyły nieprzejrzane tłumy, a prawdziwie wzruszającym był widok powszechnego i szczerego żalu, jaki okazywali włościanie po stracie swego dobrego dziedzica i opiekuna. Wielu z nich płakało. W mowie żałobnej, wygłoszonej nad zwłokami, podniósł też proboszcz miejscowy, jaką miłość u ludu pozyskał sobie nieboszczyk przez swe uczynki miłosierdzia.

Oto w czasie choroby hr. Siemieńskiego - Lewickiego, włościanie ze wszystkich jego dóbr z własnego popędu zebrali między sobą dość znaczną sumę i przynieśli ją do proboszcza z prośbą, aby rozesłał ofiary do wszystkich miejsc cudownych, by odprawiano tam msze św. na intencyę wyzdrowienia chorego. Także ruski kapłan miał serdeczną przemowę i imieniem ruskiej ludności z dóbr nieboszczyka, pożegnał go na drogę do wieczności. Trumnę ze zwłokami zanieśli do podziemia kaplicy grobowej oficyaliści dóbr chorostkowskich.

Festyn. Z Buczacza nam piszą: Dnia 11 bm. odbył się w ogrodzie starosty p. Bernackiego festyn na dochód Tow. św. Wincentego à Paulo, na które z nader wielką ofiarnością przybyło okoliczne obywatelstwo. Świetny rezultat, bo aż 2015 K., a czystego dochodu 1500 K. zawdzięczyć należy w pierwszym rzędzie niezmordowanym staraniom państwa Stojowskich, którzy nie szczędzili trudów, ani kosztów, tudzież hr. Wolańskiej, która urządziła przy współudziale okolicznych pań wspaniały bufet, jak niemniej staroście p. Bernackiemu i wszystkim innym, którzy nie szczędząc kosztów przyczynili się do otarcia łez tym najbiedniejszym, pozostającym pod opieką Tow. św. Wincentego à Paulo. Zarząd Towarzystwa składa przeto wszystkim tym dobrodziejom gorące „Bóg zapłać!"

Jak Niemców wszędzie kochają! Spotkała ich taka niespodzianka w Londynie. Król Edward VII kazał im zabrać kaplicę St. James Palace, której używają do nabożeństw od 200 lat. Pastor Frisius odebrał pismo, że ma się wynieść z pomieszkania i z kaplicy najdalej w ciągu miesiąca. Prośby pastora, aby wiernym jego wolno było modlić się w zborze aż do wyszukania innego miejsca, król odrzucił, a organistę Webera, który grywał w zborze od 57 lat, wypędzono z mieszkania po dwutygodniowem wypowiedzeniu. Nic nie pomogła wzmianka w petycyi, że w kaplicy modlą się urzędnicy z niemieckiej ambasady. Odpowiedź brzmiała, że skoro teraźniejszy ambasador jest katolikiem, to luterska kaplica na nic mu się nie przyda. Pastor Frisius stracił też odtąd swą pensyę. Nabożeństwo duńskie, istniejące dopiero od 20 lat, odprawiać się będzie w tej samej kaplicy także i nadal. Kaplica jest osobistą własnością króla i ma on przeto zupełne prawo otworzyć lub zamknąć ją jak i kiedy chce. Ale król żywi ku Niemcom głęboką niechęć i okazał ją teraz przy sposobności czynem.

Zjazdy monarchów. Pomimo żałoby z powodu zgonu cesarzowej Fryderykowej, zjazd cesarzy rosyjskiego i niemieckiego w Gdańsku podobno się odbędzie — przynajmniej tak zapewniają dzienniki berlińskie. Jednakże o wiele ciekawszą będzie podróż rosyjskiej pary cesarskiej do Francyi. Do Gdańska zrobi z Kopenhagi wycieczkę tylko sam Mikołaj II, natomiast do Francyi pojedzie on ze swą żoną; pod Gdańskiem car będzie przebywał tylko na statku i jeżeli na ląd wysiądzie, to zaledwo na krótką chwilę; natomiast odbywszy rewię floty francuskiej pod Dunkierką, pojedzie z żoną w głąb Francyi i będzie pod Reimsem na manewrach armii lądowej; zwiedzi podobno jeszcze inne miasta francuskie, może nawet Paryż, co jednak nie jest pewnem. Z tego widać, że w zewnętrznych oznakach serdeczności stosunków car jest hojniejszy dla Francyi, aniżeli dla Niemiec, chociaż berlińskie dzienniki zapewniają teraz, że właśnie Niemcy są w tak serdecznych stosunkach z Rosyą, że bodaj czy nie serdeczniejszych, niż Rosya z Francyą. A na dowód tego podają obdarzenie hr. Walderseego orderem św. Andrzeja.

Jednak najciekawszą będzie, jeżeli przyjdzie do skutku, zapowiedziana przez serbskie dzienniki podróż króla serbskiego z panią Dragą Maszynową do Rzymu. Jeżeli się ona odbędzie, zwróci na siebie powszechną uwagę. Każdy bowiem będzie miał prawo zapytać: jakież nici wiążą Rzym z Belgradem? Dlaczego Włochy mają pierwsze w murach starego Kwirynału ugościć Dragę Maszyn? Gdzie tkwi wspólność interesów albo tradycyi pomiędzy dwoma państwami lub dwiema dynastyami? Prawda, że dom sabaudzki jest demokratycznym z przekonania, a dom Obrenowiczów z konieczności, ale ta przypadkowa asocyacya usposobień nie wystarcza do zbliżenia się dwóch, zresztą nic pokrewnego z sobą nie mających żywiołów politycznych. Jeżeli przeto król Aleksander (z żoną lub bez żony) udaje się nad wody klasycznego Tybru, to czyni to dla osiągnięcia wyższych jakichś celów. Mówią, że zjedzie on się tam z teściem króla Wiktora Emanuela III, księciem Mikołajem czarnogórskim, „patryarchą" książąt słowiańskich półwyspu Bałkańskiego, i że będą wspólnie tam radzili nad sprawą domniemanego braku potomstwa w domu serbskim. Niema już żadnych widoków, aby czterdziestoletnia z górą Draga Maszyn przyniosła 25-letniemu królowi dziecko, a potomkowi legendowego Obrena i córy jego Wiszni brak bliższej rodziny, mogącej żywić poważne aspiracye do tronu serbskiego; więc oto utrzymują, że w Rzymie zamierzono porozumieć się co do przeszczepienia latorośli czarnogórskiej na tron serbski, innemi słowy: przygotować grunt pod przyszłą unię dynastyczno-państwową między Czarnogórą a Serbią. Ożeniony z księżniczką czarnogórską młody król Wiktor Emanuel byłby ojcem chrzestnym tego politycznego noworodka. W ostatnich czasach coraz częściej mieszają Włochy do spraw bałkańskich.

Mowy Walderseego. „Weltmarszałek" hr. Waldersee, wracając z wyprawy chińskiej do swej ojczyzny, wygłosił po drodze w odpowiedzi na powitania wiele mów, które jednakże wywołały niejednokrotnie zdumienie, niekiedy zaś wprost ostre uwagi. Tak np. bardzo złe wrażenie sprawiła za granicą mowa Walderseego w odpowiedzi na słowa powitalne naczelnego prezesa Hanoweru, hr. Stolberga. Marszałek miał powiedzieć: „Jestem przekonany, że imię niemieckie zyskało w Chinach na znaczeniu. Inne imiona tam bladły wobec chwały Niemiec, dzierżących wysoko swój sztandar". Na to inspirowane podobno przez hr. Waldersee *Leipziger N. Nachrichten* pośpieszyły z oświadczeniem, że marszałek nie użył w Hanowerze przypisywanych mu słów a biuro Wolfa podało je fałszywie. Wobec tego półurzędowe berlińskie Biuro Wolfa zażądało od swego korespondenta w Hanowerze wyjaśnienia, a ten odpowiedział co następuje: „Podczas spisywania mów znajdowałem się tak blisko mówcy, że go bardzo dobrze słyszałem i dlatego o fałszywem oddaniu jego słów absolutnie nie może być mowy. Referat mój był wiarogodny, oparty ściśle na stenogramie". Do oświadczenia tego — zauważa Biuro Wolfa — dodać możemy tylko to, że nasz korespondent w Hanowerze jest biegłym stenografem i wiarogodnym sprawozdawcą i dlatego nie mamy powodu powątpiewać o prawdziwości jego doniesienia.

Inne przemówienia Walderseego naprowadzają Niemców na domysł, że Waldersee pragnąłby obalić Bülowa i sam zasiąść na krześle kanclerskiem. Widoczne to ze stanowiska, jakie Waldersee całkiem wyraźnie zajmuje wobec spraw polityki zagranicznej. Opinia niemiecka podnosi szkodliwość takiego biegu rzeczy i żąda, aby się to skończyło. Dobitnie wyraża się o tem *Kölnische Volksztg.* Pisze ona: „Niepodobna, aby na straży międzynarodowej polityki stali dwaj dygnitarze: Bülow i Waldersee. Albo naród będzie się musiał pogodzić z kanclerstwem hr. Walderseego, albo też marszałek polny musi zaniechać wygłaszania mów, które dają powód do daleko idących domysłów".

Z Ostendy donoszą: Ostenda tego roku zaznaczyła się w tragiczny sposób; przedewszystkiem dom gry p. Blanca, pozazdrościwszy siostrzanemu zakładowi w Monaco corocznych wypadków samobójczych, postarał się o jednego samobójcę, jakiegoś Egipcyanina, który zgrawszy się do nitki, zastrzelił się na wspaniałych schodach marmurowych, prowadzących do salonów gry. Czujna służba uprzątnęła w lot ciało, ale świadków było zanadto, ażeby wypadek ukryć. We dwa dni potem utopiło się w kąpieli dwoje osób, oprócz tego dwoje wyratowano, głównie przy dzielnej pomocy adwokata z Warszawy K. Olszowskiego.

O tym wypadku pisze gazeta miejscowa: „Pewien cudzoziemiec odznaczył się szczególniej przy ratowaniu tonących. Dowiedzieliśmy się, że jest to p. Kazimierz Olszowski, któremu dziękujemy serdecznie, a zadanie jego było tem trudniejsze, iż dama, którą ratował, uchwyciła się jego szyi". Wprawdzie i na lądzie czynią damy to samo, tu jednak ten uścisk, zanadto namiętny, dał się podobno dotkliwie uczuć p. Olszowskiemu. Przedwczoraj znowu, przy jednym ze stołów, padł nagle na udar serca jakiś niemłody mężczyzna i w pół godziny skonał. Straszliwe wrażenie podniósł jeszcze jęk zrozpaczonej małżonki nieszczęśliwego; przy tym samym jednak stole grano dalej najspokojniej, nawet niektórzy dowiadywali się skrzętnie o wiek nieboszczyka, chcąc z liczby jego lat wykombinować jakie szczęśliwe *coup* przy rulecie.

Stan powietrza. T. o g. 6 rano + 12, w poł. + 15 R. Bar. 765. Spada. Pochmurno.

Mamy wszystko swoje!

Słynęliśmy ongi z żyta i pszenicy, dziś nie ustępujem w niczem zagranicy. Bo, choć coraz gorzej na oranym łanie, w zamian przemysł, handel w przewybornym stanie. Pluć już byle komu nie pozwolim w kaszę, mając wszystko w domu; na co spójrz, to nasze! Są zapałki „szwedzkie", są „szwajcarskie" sery, są korty „francuskie", „angielskie" portery. Mamy „włoskie" struny, „holenderskie" śledzie, nawet wykałaczki „czeskie" po obiedzie. Jest „węgierska" bryndza, „duńskie" rękawiczki, „Chińska" porcelana, „japońskie" trociczki, „styryjskie" żelazo, „freblowskie" ochronki, bar „amerykański", „brukselskie" koronki; kwas „pruski", „kolońską", no i *et caetera*, nawet elementarz polski *von* Reusnera! Słowem, co po garstce rozrzucone w świecie, mamy w własnym domu w ogromnym komplecie.

Repertuar teatru miejskiego we Lwowie. Dziś we czwartek „San-Toy", chińska operetka w trzech aktach Sidney Jonesa. Debiut p. Władysława Krzemieńskiego. — W piątek „Koralia i Spółka" krotochwila w 3 akt. Valabrégue'a i Hennequin'a, tłum. Sachorowski. — W sobotę „Wesoła dwójka" operetka w 3 aktach Ziehrera. IIgi debiut p. Glińskiego. — W niedzielę „San-Toy". IIgi debiut p. Krzemieńskiego. — W poniedziałek po raz Iszy „Leta" krotochwila w 3 aktach z angielskiego Rafla Gobbinsa.

Część ekonomiczna.

Wiedeń, 20 sierpnia.

(Z.) I dziś jeszcze była giełda pod wrażeniem wczorajszej publikacyi półrocznego bilansu austryackiego Zakładu kredytowego. Oceniano go dziś trochę bardziej pesymistycznie niż wczoraj i jakkolwiek nie kwestyonowano stawianych wczoraj różowych horoskopów co do przyszłości, dawano bądź co bądź wyraz przekonaniu, że zmniejszenie się dochodów tego banku prawie o 1,200.000 K. w ciągu pół roku, jest wypadkiem bardzo przykrym. Obniżono też w rezultacie kurs akcyi kredytowych prawie o 5 koron. Oprócz kredytów zrobiono jeszcze kilka znaczniejszych transakcyi w Staatsbahnach i po za tem nic zresztą nie stało się na giełdzie dzisiejszej. Popyt był bardzo słaby, nawet o renty, podaży także prawie żadnej, więc kursa trzymały się nieruchomo. — Na targach zagranicznych przeważała dziś silna tendencya. Zwłaszcza paryska giełda z prawdziwym zapałem powitała wiadomość, że car z carową przybyć mają do Francyi. — W Berlinie zaś oddziaływały korzystnie na tendencyę giełdową artykuły *Gazety Kolońskiej* o stanie przemysłu żelaznego w okręgu nadreńskim, stwierdzające, że wywóz żelaza z hut tamtejszych zaczyna się wzmagać i wzrósł w ciągu pierwszych sześciu miesięcy bieżącego roku o 250.000 tonn.

Korzystając z obecnego, bardzo korzystnego kursu złota, tudzież z tego, że różnica między stopą procentową w Austro-Węgrzech a za granicą jest stosunkowo znaczna, gromadzi bank austro-węgierski skrzętnie dalsze zapasy złota. Od 15 sierpnia po dziś dzień zakupił go za 6 milionów koron, częścią w amerykańskich monetach, częścią w sztabach. Ponieważ zaś poprzednio już od Nowego Roku po dzień 15 sierpnia zakupił złota różnemi partyami za 25 milionów koron, przeto ogółem powiększył bank w tym roku swoje zapasy żółtego kruszcu o 31 milionów.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 634·25, węgierskie 643·00, Anglobanki 269·00, Uniony 531·00, Bankvereiny 446·00, Länderbanki 401·00, Ludwiki 428·70, Czerniowieckie 526·00, Elbethale 478·—, Renta papierowa 98·95, srebrna 98·85, austryacka złota 118·75, austr. renta wal. kor. 95·80, węgierska złota 118·60, węgierska renta wal. kor. 93·20, dukat 11·32, 20-franków 19·04—, 20-markówka 23·44, ruble 2·53—.

§ **Wiedeń** 22 sierpnia. W lipcu r. b. przywieziono do austro-węgierskiego obszaru celnego towarów za 134·8 mil. kor., wywieziono zaś za granicę towarów za 150·2 mil. kor. Aktywium bilansu handlowego wynosiło więc 15·4 mil. K. (o 17·5 mil. K. mniej niż w lipcu roku 1900). Od początku stycznia do lipca br. włącznie przywóz dosięgnął cyfry 977·3 mil. K., wywóz 1044·5 mil. K. Aktywium bilansu za ten okres 7-miesięczny wynosi przeto 67·2 mil. K. (30.8 mil. K. mniej niż w tym samym okresie roku ubiegłego.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU".

Wiedeń 22 sierpnia. Ministeryum handlu wypracowało już przedłożenie rządowe o zmianie i uzupełnieniu ustawy przemysłowej i rozesłało je Izbom handlowym, które mają wydać o niem swą opinię.

Londyn 22 sierpnia. *Times* ogłasza pekiński protokół pokojowy. W pierwszych czterech artykułach jest mowa o komisyach pokutniczych i o ukaraniu rozmaitych dostojników chińskich. Artykuł piąty wprowadza 2-letni zakaz przywozu broni i amunicyi do Chin i zastrzega, że zakaz ten może być w razie potrzeby przedłużony jeszcze na 2 lata. Artykuł szósty traktuje o kontrybucyi wojennej w kwocie 450 milionów taelów, tudzież o warunkach jej spłaty i o gwarancyi. Artykuł siódmy dotyczy odgraniczenia i obrony dzielnicy poselskiej w Pekinie. Reszta postanowień odnosi się do kwestyi połączenia Pekinu z morzem, rewizyi traktatów handlowych, regulacyi rzek, przemiany czungliamenu w ministerstwo spraw zagranicznych, tudzież zmiany ceremoniału dworskiego dla audyencyi udzielanych posłom mocarstw.

Kapstadt 22 sierpnia. Biuro Reutera donosi: Oddziały wojsk boerskich od kilku tygodni gromadzą się w pobliżu Barklyeast; pochód ich wstrzymuje policya kolonii Przylądka i inne wojska angielskie. Barklyeast posiada silną załogę; wskutek bliskości nieprzyjaciela miasto to odcięte jest od komunikacyi pocztowej i telegraficznej.

Praga 22 sierpnia. Wczoraj odbył się pogrzeb Kaizla; wzięli w nim udział Boehm-Bawerk, Rezek, namiestnik, bardzo liczni reprezentanci władz rządowych, posłowie do Rady państwa i do Sejmu, w tej liczbie i członkowie klubu ruskiego, reprezentanci stowarzyszeń i t. d. Nad grobem przemówił przewodniczący młodoczeskiego komitetu wykonawczego Skarda; sławił zmarłego jako patryotę, uczonego i polityka, którego zgon nietylko dla rodziny i przyjaciół jego, lecz dla całego narodu czeskiego stanowi stratę niepowetowaną. Między innymi nadeszły kondolencye od posłów Jaworskiego i Chamca i od namiestnika Pinińskiego, który telegrafował do dra Pacaka: „Proszę przyjąć jako przewodniczący klubu czeskiego wyrazy szczerego spółczucia z powodu śmierci excelencyi dra Kaizla, dla którego zawsze żywiłem głęboki szacunek i szczerą przyjaźń".

Berlin 22 sierpnia. Do „Biura Wolffa" donoszą z Pekinu: W okolicy Pekinu zamordowali zbójcy przed dwoma tygodniami urzędnika Lloydu. Zarządzono środki celem schwytania mordercy.

Wiedeń 22 sierpnia. Cesarz sankcyonował uchwałę sejmu czeskiego zaprowadzającą w gminach wiejskich bezpośrednie wybory.

Rzym 22 sierpnia. Do ajencyi Stefaniego donoszą z Sigmaringen, że umarł tam wczoraj generał Minorytów O. Ludwik Lauer.

Paryż 22 sierpnia. Ajencya Havasa donosi: Mimo formalnych zapewnień tureckiego ministra spraw zagranicznych i mimo słowa, danego przez sułtana ambasadorowi francuskiemu Constansowi, sułtan cofnął przyrzeczenia, jakie uczynił w sprawie likwidacyi spornych pretensyi francuskich. Z tego powodu ambasador francuski zawiadomił pierwszego sekretarza sułtana, że wszelkie stosunki z rządem Otomańskim uważa za zerwane i komunikuje to równocześnie własnemu rządowi.

Wiedeń 22 sierpnia. Pociąg pośpieszny, idący do Tryestu, wykoleił się wczoraj koło Marburga, przyczem nikt nie został skaleczony.

Nowy Jork 22 sierpnia. Przy eksplozyi w kopalniach Towarzystwa „Standard Oil" 150 osób poniosło mniejsze lub większe obrażenia. W pożarze powstałym wskutek wybuchu spaliło się 300.000 beczek oliwy.

Pod Cevelandem, gdzie budują podwodny tunel przez jezioro Erie, nastąpiła ubiegłej nocy eksplozya gazu, wskutek której 5 osób utonęło.

Paryż 22 sierpnia. Z powodu francusko-tureckiego zatargu odpłynął wczoraj francuski krążownik „Cassard" ku wybrzeżom tureckim, a dywizya okrętów gotową jest do odpłynięcia w ślad za „Cassardem".

Kilonia 22 sierpnia. Zjazd cesarza Wilhelma z carem nastąpić ma 17 września nie w Gdańsku, lecz w Kilonii, a ma tu także przybyć w tym czasie król angielski.

HOTEL GEORGE.

Przyjechali dnia 22 sierpnia M. Zieleński z Strutyna. M. Gniewoszowa z Kontów. Hr. Stefan Komorowski i hr. M. Komorowska z Siekierczyc. St. Wybranowski z Kimirza. E. Bohaczewski z Maryampola. A. Goedeke z Bremy. E. Grosmann z Wiednia. Br. St. Konopka z Głogoczowa. M. Kellermann z Kańczugi.

HOTEL EUROPEJSKI
ALBERT SZKOWRON
Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 22 sierpnia. Radzca dworu Żminkowski z Wiednia. Dr. A. Dworski z Przemyśla. E. Puchalski z Dworca. A. Marss z Sądowej Wiszni. M. Lehmann z Hamburga. S. Komornicki z Zawadki. M. Berlińska, J. Bogucki i J. Lifa z Krakowa. Dyr. Drahanowski z Kamionki Strum. H. Marmorosz z Karowa. M. Gärtner z Norymbergi. M. Dunikowska z Rosyi. J. Aicheler z Tryestu.

HOTEL FRANCUSKI
plac Maryacki — Lwów.
Pierwszorzędny hotel z komfortem urządzony, pilzneńska restauracya z pokojem do śniadań, cukiernia w miejscu.

Przyjechali dnia 22 sierpnia. N. Skibniewska z Sokala. L. Teltsch z Stanisławowa. S. Giżycka z Kijowa. S. Zwolscy z Bryniec. J. Friedmanowie i J. Parness z Tarnopola. J. Kochanowski z Przemyśla. O. Wildek z Polnej. J. Kanzalowie i N. Pilecki ze Lwowa. S. Waligórscy z Swaryczowa. N. Fahime, J. Kolowrat i J. Egelhof z Wiednia. K. Fahlbemmer z Stanisławowa. S. Udrycka z Mostów Wielkich. A. Gawlik z Sanoka. L. Reszke z Bursztyna.

NADESŁANE.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona na siebie żadnej odpowiedzialności.

Lwów 22 sierpnia. (Z izby handlowej). Obliczenie w walucie koronowej.

Akcye za 100 K.: Kolej gal. Karola Ludwika po 420 Koron 426·00 do 433·00, Kolej Lwowsko-Czern.-Jaska po 400 kor. 525.00 do 535.00. Banku hipotecznego po 400 kor. 530.00 do 540·00. Akcye garbarni w Rzeszowie po 400 kor. —·— do 100·—. Tow. budowy wagonów w Sanoku po 500 koron 360·— do 380.—. Banku dla handlu i przemysłu po 400 k. 350.— do 358.—.

Listy zastawne za sztukę: Banku hipot. galic 5 proc. los. w 50 lat. z 10 proc. prem. 109·50 do 000·00 4 i pół proc. los. w 50 lat 97·30 do 98·—, 4 proc. los. w 60 lat 89.70 do 90·40. Banku kraj. 4 i pół proc. los w 51 lat 99.30 do 100.— Banku kraj. 4 proc. los w 57 lat 92·— do 92·70. — Tow. kred. gal. ziemskie 4 proc. (I emisya) 93·30 do 94·00. 4 proc. los w 41 i pół latach 93.50 do 94.20, 4 proc. los w 56 lat 91·00 do 91.70.

Obligi za sztukę: Gal. fund. propinacyjnego 4 prc. 96·20 do 96·90. Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 101·50 do —·—. Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 101·— do 101·70. Kolejowe lokalne Banku krajowego 4 procentowe po 200 koron 92·00 do 92·70. Pożyczki kraj. z r. 1873 6 proc. —·— do —.—. 4 proc. z 1893 r. 92.— do 92.70. miasta Lwowa 4 proc. po 200 koron 87·30 do 88·—, 4½% po 200 koron 97·— do 97·70.

Monety. Dukat cesarski 11·17 do 11·35. Napoleondor 18·90 do 19·15. Rubel rosyjski papierowy 252·50 do 254.—. 100 marek niemieckich 117·10 do 117·50.

Wiedeń 22 sierpnia. Kursa giełdy wiedeńskiej.

Losy: a) procentowe:

Austr. zakł. kr. z obl. pr. z r. 1880 3%	254.—
„ „ „ „ „ „ 1889 3%	254.00
Tow. żegl. na Dunaju 100 zł. m. k. 4%	510.—
Uregulow. Dunaju z r. 1870 100 zł. 5%	257.50
Węg. Banku hipotecznego po 100 zł. 4%	242.50
Pożyczka serbska prem. po 100 fr. 2%	81.00
Tureckie obl. prem. kolej po 400 fr.	99.25

b) bezprocentowe:

Budapeszteńskie (Basilica) 5 zł. 16·25, Zakł. kred. dla h. i p. po 100 zł. 391.00, Clary 40 zł. m. k. 144.00, Pożyczka m. Insbruku 20 zł. 83.—, Losy m. Krakowa 20 zł. 74.50. Pożyczka m. Lublany 20 zł. 61.75, Ofen 40 zł. 158.50, Palffy 40 zł. m. k. 161.—, Czerw. krzyża austr. 10 zł. 48.—, Czerw. krzyża węg. 5 zł. 25·—, Losy fund. arcyks. Rudolfa 10 zł. 58.—, Salma 40 zł. m. k. 219.—, Pożyczka salcburska 20 zł. 78.—, Pożyczka St. Genois 40 zł. m. k. 238.—, Losy komunalne m. Wiednia r. 1874 393.00.

Wiedeń 22 sierpnia. (Giełda towarowa). Cukier (stały) 21·60. Nafta galicyjska bez zmiany. Spirytus (niezmieniony) 42·00.

Berlin 22 sierpnia. (Zamknięcie giełdy). (Podług obliczenia procentowego). Banknoty austryackie 85·35. Spirytus 00·00.

Paryż 22 sierpnia. (Zamknięcie giełdy). Trzyprocentowa renta 101·70. Mąka („Fleur de Paris") 27·90.

Frankfurt 22 sierpnia. (Giełda zagraniczna). Kredyty austryackie 199·30. Koleje państwowe 000·00. Alpiny 000·00. Disconto 174·80. Laura 187·00.

Wiedeń 22 sierpnia. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i po 50 kilogramów). Pszenica na jesień 8·12—8·13, na wiosnę 8·54—8·55; żyto na jesień 7·05—7·06, na wiosnę 7·35—7·36; kukurudza na lipiec-sierpień 5·50—5·51, na sierpień-wrzesień 0·00—0·00, na wrzesień-październik 5·54—5·55, na maj-czerwiec 5·46—5·47; owies na jesień 6·66—6·67, na wiosnę 7·02—7·03. Rzepak na sierpień-wrzesień 14·30—14·40, na wrzesień-październik 0·00—0·00, na styczeń-luty 0·00—0·00. Olej rzepakowy na wrzesień-grudzień 0·00—0·00. Tendencya: silna. Pogoda: piękna.

Budapeszt 22 sierpnia. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i po 50 klg.). Pszenica na październik 7·96—7·97, na kwiecień 8·39—8·40; żyto na październik 6·70—6·71; na kwiecień 0·00—0·00; owies na październik 6·30—6·31, na kwiecień 0·00—0·00; kukurudza na sierpień 5·22—5·23, na wrzesień 5·24—5·25, na maj (1902) 5·16—5·17. Rzepak na sierpień 13·75—13·85. — Oferty na pszenicę: dostateczne. Chęć kupna: słaba. Tendencya: spokojna. Pogoda: piękna.

Ruch pociągów kolejowych

ważny od 1go maja 1901 roku według czasu środkowo-europejskiego.

Przychodzą do Lwowa:

Z Krakowa: **2·31***, **1·35**, **8·40***, 6·10, 8·50, 5·50 i 9.50*.
Z Rzeszowa: 11·45.
Z Podwołoczysk (na dworzec główny): **2·35**, 8·35*, 5·35, 10.20*; na Podzamcze: **2·20**, 8·12*, 5·11, 10·2*.
Z Tarnopola: 8·00 (na dw. gł.); 7·40 na Podzamcze.
Z Czerniowiec: **12·15***, **1·45**, 6·20, 5·40 i 9·20*.
Ze Stanisławowa: 11·55.
Ze Stryja: 8·10, 1·10, 4·40, 10·50*.
Z Sokala: 8·15, 6·00.
Z Janowa 7·45, 12·55; do 15 września w niedzielę i święta: 9.00*; do 30 września codziennie: 9·41*.
Z Brzuchowic do 15 września codziennie: 6·46 i 8·50* w niedzielę i święta: 8·14 i 7·36*.

Odchodzą ze Lwowa:

Do Krakowa: **12·45***, **8·30**, **2·55**, 4·15*, 8·40, 6·20*, 11*.
Do Rzeszowa: 3·30.
Do Podwołoczysk z dworca głównego: **1·55**, 6·30, 9·25, 11·10*; z Podzamcza: **2·08**, 6·43, 9.42, 11·32*.
Do Tarnopola: 7·10* z dw. głównego i 7·32* z Podzamcza.
Do Czerniowiec: **2·51***, **2·40**, 6·25, 10·25, 10·30*.
Do Stanisławowa: 6·10*.
Do Stryja: 6·35, 9·00, 3·05, 6·35*.
Do Sokala: 10·20, 7·25*.
Do Janowa: 9·15; do 15 września w niedziele i święta 1·25, a codziennie 3·15; do 15 września w dni powszednie a następnie codziennie 6·30*.
Do Brzuchowic. do 15 września codziennie 5·45* i 3·26, a w niedziele i święta 2·15 i 7·52*.

Uwaga. Pociągi pośpieszne drukowane są literami tłustemi; pociągi nocne oznaczone są gwiazdką. Pora nocna liczy się od godz. 6 wieczór do 5 min. 59 rano.

Obszerny wyciąg z rozkładu jazdy dla głównego dworca i Podzamcza ogłasza się co środy i soboty.

11)

KTO WINIEN?

POWIEŚĆ

A. CARUTHERSA.

Przekład z angielskiego *E. Ż.*

(Ciąg dalszy).

„Stwierdzono, że wprowadziła sama gościa, gdyż mógł jedynie wejść przez furtkę, albowiem drzwiczki od bocznego wejścia, przeznaczonego dla służących, były zamknięte na klucz.

„Pani Silverof przed otworzeniem furtki wyjrzała pewnie przez okienko i zapewne zobaczyła osobę znaną, której nie miała powodu się obawiać.

„Gdzież jest ten wysoki brunet? Czemu się nie zjawia?

„Zwłoki odniesiono do trupiarni Morgue (jak zwykle w razach podobnych) dla poddania ich lekarskiemu badaniu.

„Lekarz, który dokonywał autopsyi, orzekł, iż zbrodnia została spełniona pomiędzy trzecią a czwartą popołudniu, a oznaki na ciele świadczą, że morderca musiał być mańkutem, lub też chwilowo niezdolnym do posługiwania się prawą ręką."

— Jeśli Kaskawicz zezna, że mi bardzo zależało na odzyskaniu szkatułki, to jestem zgubiony — rzekł Leslie.

Jego biedna żona, zapominając, że mają w domu zaledwie kilkaset franków i że te należą do Izabeli, radziła mu uciekać do Anglii, do Ameryki, jak najdalej od Paryża.

Leslie uśmiechnął się smutno i przypomniał jej ich stan finansowy.

— Choćbym nawet rozporządzał potrzebnymi środkami, ucieczka byłaby niemożliwą — tłómaczył — wysłano już bowiem agentów policyjnych do wszystkich rogatek, na wszystkie dworce kolejowe i t. d.

W chwili tej w przedpokoju rozległ się dzwonek. Członkowie tej nieszczęśliwej rodziny drgnęli, przejęci niepokojem.

Nella podbiegła na palcach do przedpokoju i nachyliwszy się, zajrzała przez dziurkę od klucza. Za chwilę wróciła blada, jak płótno i zameldowała hrabiego Pohiticza.

Ta wizyta spadała, jak piorun.

— Muszę go chyba przyjąć — rzekł Leslie. — Gdybym go unikał, gotówby domyślić się powodu. Wejdźcie do sąsiedniego pokoju; sam mu drzwi otworzę.

Dzwonek rozległ się powtórnie.

P. Chetwynd, uzbroiwszy się w zimną krew i odwagę, wprowadził niepożądanego gościa, który był bardziej jeszcze od niego wzburzonym.

— Domyśla się pan, co mnie tutaj sprowadza — rzekł po przywitaniu. — Zabójstwo pani Silverof przejęło mnie zdumieniem i zgrozą. Nie chciałem wierzyć, że to prawda.

— Istotnie, straszny to wypadek i mnie też wystraszył i zasmucił.

— Wierzę, obawiałem się nawet, czy już pan nie siedzi w więzieniu. Ale cóż się panu stało w rękę?

Leslie opowiedział mu przygodę, która go pozbawiała chwilowo możności używania prawej ręki.

— Zdarzyło się to nie w porę, panie Chetwynd — rzekł hrabia z naciskiem.

— Wiem — odparł Leslie smutno.

— Kaskawicz wie już zapewne o tem zabójstwie. Jest to dla niego cios straszny. Kochał tę nieszczęśliwą. Został wezwany przez sędziego śledczego. Ma zeznawać zaraz po swojem przybyciu.

Mówiąc to, hr. Pohiticz patrzał na Chetwynda badawczo.

— Zezna pewno, że byłem u pani Silverof pomiędzy trzecią a czwartą w zeszły czwartek z propozycyą odstąpienia mi szkatułki — rzekł Chetwynd głosem drżącym.

— W takim razie jesteś pan zgubiony — oświadczył Bułgar stanowczo. — Sędzia wyprowadzi stąd wniosek, że pani Silverof nie chciała panu szkatułki odsprzedać, że próbowałeś wziąć ją przemocą, a gdy się broniła i wzywała ratunku, chwyciłeś ją pan za gardło ręką lewą, ponieważ prawą nie władasz. Pewien jestem, że sędzia tak będzie się zapatrywał na tę sprawę.

— Daruj mi, panie hrabio, ale sądzę, że pańskie wnioski idą zbyt daleko. Niepodobna przecież uwierzyć, aby człowiek z lepszego towarzystwa, dobrze wychowany, jednem słowem „gentleman", zdolny był zabić kobietę po to tylko, aby pozyskać szkatułkę wartości 500 franków.

— Mógł dopuścić się tego nie dla samej szkatułki, lecz dla jej zawartości — rzekł hrabia z naciskiem.

Wybuch dynamitu lub piorun, uderzający u stóp Chetwynda, nie sprawiłby na nim silniejszego wrażenia, niźli te słowa.

— Boże wielki! — zawołał, zrywając się na równe nogi. — A więc pan...

Urwał, nie mogąc głosu wydobyć. Wściekłość, rozpacz i wzgarda dusiły go i tchu pozbawiały.

— Tak, znalazłem bilet loteryjny — odparł hrabia z najzimniejszą krwią. — Podobną szkatułkę przywiózł niegdyś z Japonii nasz konsul w Hakosadi, oglądałem ją, więc znana mi była jej skrytka.

— I przyznajesz się pan, żeś mi ukradł pół miliona! — zawołał Leslie głosem zdławionym.

— Nie mam się do czego przyznawać. Nie zapominaj się, panie Chetwynd; rozpacz odbiera panu zmysły. Należy miarkować uczucia i słowa. Skoro nabyłem od pana szkatułkę, tem samem stałem się prawnym posiadaczem nietylko samej szkatułki, ale i jej zawartości. Gdym znalazł w niej bilet loteryjny, nie wiedziałem, czyją był poprzednio własnością. W pierwszej chwili zdawało mi się, że to nieużyteczny skrawek papieru, schowałem go jednak i zdziwienie moje było wielkie, gdym się dowiedział, że mam w ręku numer, na który padła wielka wygrana loteryi nicejskiej. Pan przyszedłeś do mnie w kilka minut potem.

— Jednak nie podzieliłeś się pan ze mną swojem odkryciem — rzekł Leslie gorzko — nie zaproponowałeś mi pan oddania mojej własności, choć panu wiadomo, że ja i moja rodzina pogrążeni jesteśmy w nędzy. Pan, milioner, hrabia Pohiticz, zachowałeś te marne dwadzieścia tysięcy liwrów, które były dla nas fortuną i jedyną deską ratunku.

Leslie był coraz bardziej wzruszony; łzy napływały mu do oczu, choć starał się je połykać. Ogarniała go niemoc, gdyż od dwóch dni nie miał nic w ustach.

— Słuchaj pan — rzekł hrabia głosem stanowczym i łagodnym zarazem. — Zachowałem ów dokument, albowiem miał mi służyć do moich celów. Skorom tylko dowiedział się, że szkatułka była własnością pana, ten skrawek papieru stał się dla mnie talizmanem, drogą dojścia do pożądanego celu, do osiągnięcia największego szczęścia, jakiego pragnąłem w życiu. Chciałem odnieść panu bilet, lecz pod jednym warunkiem...

Głos jego zabrzmiał pokornie, błagalnie.

— Miałem nadzieję, że panna Izabela zgodzi się na moją prośbę z przywiązania do rodziny, zagrożonej takim ciosem. Wiem, czuję, że to postępek niski, haniebny, wstydzę się sam siebie, ale... miłość dla pańskiej córki uczyniła mnie obojętnym, ba, nawet ślepym na wszelkie inne względy.

Zapanowało milczenie. Obaj pogrążyli się w myślach; wreszcie pan Chetwynd obudził się jakby ze snu.

— Sądzę — rzekł — iż poznałeś pan bezowocność podobnego kroku i że zaniechałeś tej płonnej nadziei.

— Przeciwnie! — zawołał hrabia porywczo — teraz nadzieje moje wzrosły. Izabela nie zechciałaby mi oddać ręki, gdyby chodziło tylko o zapewnienie dobrobytu rodzinie, ale gdy takiem poświęceniem może wybawić ojca od hańby i kary śmierci, zostanie z pewnością moją żoną.

Śmiertelna bladość powlokła twarz Chetwynda; rzucił okiem na uchylone drzwi od sypialnego pokoju, w obawie, że ujrzy w nich Izabelę.

— Powtarzam — ciągnął dalej hrabia Pohiticz — że jeśli Kaskawicz zezna, iż byłeś pan u niego dla odzyskania szkatułki, w której, jak panu było wiadomo, znajdował się bilet, przedstawiający sumę pół miliona franków, w takim razie jesteś pan zgubiony. Fakty są tak wymowne, że obrona staje się niemożliwą. I gdyby nawet, czego spodziewać się nie należy, sąd przysięgłych przyznał okoliczności łagodzące, to i w takim razie czekają pana dożywotnie ciężkie roboty. Ja tylko jeden mogę powstrzymać Kaskawicza od zeznań. Choćby miał nawet w ręku dowody pańskiej winy, zobowiązuję się skłonić go do milczenia. Niech Izabela rozstrzyga, czy mam użyć tej władzy nad nim, czy też nie?

— Rozumiem cię, hrabio: ręka mojej córki ma być okupem za moje bezpieczeństwo. Lecz ja nie chcę pozyskiwać go takim kosztem. Nie chcę poświęcać szczęścia mojego dziecka, choćbym miał przez to życie utracić.

Hrabia milczał przez chwilę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny: **Wacław Masłowski.** Papier z fabryki Czerlańskiej. Z drukarni E. Winiarza.